



Meredith Web-  
ber

Jedno pytanie

*Tytuł oryginalny: Daisy and the Doctor*

*Przyjaciółki z Westside 04*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Daisy leżała na łóżku i zapatrzona w sufit zastana wiała się, czy aby nie popełniła najgorszego w życiu błędu, rezygnując z prowadzenia radiowego poradnika psychologicznego.

Niby od poniedziałku zaczynała tymczasową pracę na niepełny etat i miała jeszcze swoją interaktywną stronę Internetową, ale mimo wszystko nie mogła przeboleć, że lin program poprowadzi teraz ktoś inny. To jest przecież Jej dziecko.

Dziecko

O kurczę! Czy jest zdecydowana wprowadzić w życie ten szalony pomysł? Czy starczy jej odwagi?

Na myśl o dziecku fala ciepła uderzyła jej do głowy. Własne dziecko! Otoczyłaby je miłością, której sama nie zaznała - miłością, która już teraz przepelnia jej serce, I ona, nie znajdując dla niej żadnego innego ujścia, przelewa ją na swoich internetowych pacjentów.

No tak, ale czy decydowanie się na samotne macierzyństwo jest fair wobec dziecka?

Słyszała o gorszych alternatywach...

Zadzwoił telefon: Sięgnęła po słuchawkę z gorliwością, z jaką rozbitek na pełnym morzu czepia się rzuconego mu koła ratunkowego. Było tylko zająć myśli czymś innym.

- Halo!

- Daisy? Tu Gabi. Przepraszam, że zawracam ci tak wczesnie głowę, ale jestem na górze, w penthousie. Wiesz, że Madeleine i Graham Frostowie wyjechali?

Nie czekając na odpowiedź, Gabi Graham, sąsiadka z czwartego piętra, ciągnęła:

- A Ingrid szaleje, krzyczy, że odchodzi i na prze mian to się pakuje, to pomstuje na Madeleine i brata Madeleine, Juliana, który mieszka tu teraz do ich po- wrotu. To znaczy, wydaje mi się, że pomstuje, bo robi to po szwedzku - i co chwila używa słowa „krowa”. Nie wiem, czy ma na myśli prawdziwą krowę, czy to jakieś szwedzkie słowo, które coś tam po ichniemu znaczy.

Daisy, wyobrażając sobie tę scenę, stłumiła chichot. Z nerwowej reakcji spokojnej zazwyczaj Gabi na fochy pięknej szwedzkiej niańki wynika, że musi się tam roz- grywać istny cyrk.

- A ja muszę iść do pracy - dodała Gabi już trochę ciszej. A po chwili wahania dorzuciła: - A ty znasz In- grid lepiej niż my wszystkie, pomyślałam więc sobie...

- Wezmę tylko prysznic i zaraz tam będę - obiecała Daisy. - Możesz się pomału zbierać.

Przynajmniej nie będzie miała czasu rozpamiętywać swojej rezygnacji z prowadzenia programu radiowego.

I tej drugiej życiowej decyzji, którą ostatnio podjęła, i która tę rezygnację za sobą pociągnęła.

Ale stojąc pod prysznicem, nie myślała ani o rezyg- nacji, ani o historycznej niańce, lecz o podopiecznych Ingrid, bliźniakach Shaunie i Ewanie.

Potem zastanawiała się, czy komuś przyszło do głó- wy,

żeby usunąć malców z miejsca rozgrywającego się dramatu. Serce jej się ścisnęło na myśl, jak przeżyliby odejście Ingrid, i to pod nieobecność rodziców.

Znała dosyć dobrze i Ingrid, i bliźniaków, bo często chodziła z tą trójką do pobliskiego parku, żeby popatrzeć, jak chłopcy biegają, śmieją się, kłócą i baraszkują.

Zastępcze dzieci, ale to musiało jej do niedawna wystarczyć. Teraz postanowiła rzucić pracę po nocach, uporządkować swoje życie i urodzić własne dziecko.

Włożyła na siebie, co jej wpadło w rękę - dzinsowe rybaczki i obszerną, lekką, jaskraworóżową bawełnianą koszulę - i przecesała szczotką masę splątanych czarnych włosów, prawdę mówiąc, nie wiadomo po co, bo wiedziała, że za parę minut znowu się nastroszą i popłaczą.

Stanowczo musi wyperswadować Ingrid odejście.

Wsiadła do windy i nacisnęła, guzik piątego piętra. Wyszła z kabiny do foyer penthouse'u. Gabi już tam na nią czekała. Hałasy dochodzące z apartamentu uniemożliwiały rozmowę, a więc Gabi popchnęła ją tylko w kierunku otwartych drzwi i krzyknęła:

- To ja lecę. Powodzenia!

Daisy przymknęła oczy i przygotowała się psychicznie na najgorsze.

- Dzień dobry! - zawołała od progu, żeby obwieścić swoje przybycie.

Nikt jej nie odpowiedział, ruszyła więc w stronę źródła hałasu, mijając po drodze pokój, w którym Ingrid, złorzeczac po szwedzku, wrzucała do walizki swoją garderobę.

Pokój bliźniaków spełniał dwie funkcje - bawialni

i oddzielonej od niej łukowatym przejściem sypialni. Pośrodku bawialni na małym krzeselczku przy małym stoliczku siedział wielki mężczyzna.

Od razu rzuciła jej się w oczy szopa ciemnych włosów, trochę bardziej prostych, ale niemal tak samo splełtanych jak jej, przetykanych już gdzieś tam pasemkami siwizny. Poza tym niewiele zdążyła zaobserwować, bo jej uwagę przyciągnęli trzyletni już prawie chłopcy. Leżeli na brzuchach, wierzgali nogami, machali rękami i czerwoni na buziach darli się wniebogłosy.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok.

- Próbowałem ich uspokoić, a kiedy mi się to nie udało, przestałem zwracać uwagę - wyjaśnił.

Dopiero teraz zobaczyła jego twarz. Była to twarz całkiem sympatyczna, z tym że teraz malowało się na niej zatroskanie. W morsko zielonych oczach nieznanego nie dostrzegła jednak śladu złości. Wprost przeciwnie, igrał w nich cień uśmiechu.

- Daisy, prawda? Kiwnęła głową i zauważyła:

Niezwracanie uwagi też najwyraźniej nie skutkuje... Usiadła na podłodze i wzięła bliższego z wrzeszczących

chłopców na kolana. Był to Shaun, chociaż gdyby ktoś ją spytał, nie potrafiłaby wyjaśnić, po czym to poznał.

- Cicho, malutki - mruknęła, kołysząc go i jednocześnie podsuwając się do Ewana. - Denerwujesz swoim krzykiem braciszka. Spójrz tylko na niego! Widzisz, jaki jest nieszczęśliwy. A teraz popatrz na wujka Juliana. Siedzi na twoim krzeselku. Głupio wygląda, prawda? Posiedzisz z nim trochę, a ja tymczasem utulę Ewana?

Mówiła spokojnie i cicho, tak że musiał zamilknąć, by ją słyszeć. Ale propozycja posiedzenia z wujkiem Julianem nie przypadła mu chyba do gustu, bo objął ją pulchnymi rączkami za szyję i ani myślał puścić.

- No dobrze, to zostań na moich kolanach, ale zrób trochę miejsca dla Ewana - powiedziała, przesuwając go na jedno kolano i podnosząc z podłogi drugiego chłopca.

On też już się uspokoił i tylko popłakiwał cicho. Po chwili jednak chłopcy znów wszczęli bójkę. Daisy też się przy tym obrywało.

- Dostyc tego! - oznajmiła stanowczo. - Przestańcie płakać i powiedzcie mi, o co chodzi.

- Niewłaściwe pytanie - mruknął mężczyzna. Chłopcy znowu się rozbeczeli.

- Cisza, nie mogę zebrać myśli, kiedy tak wyjecie. Może byście się grzecznie pobawili, a ja pójde porozmawiać z Ingrid?

- Powodzenia! - prychnął mężczyzna.

Bliźniacy przywarli do Daisy, tak jakby jej kolana były jedynym bezpiecznym azylem na tym coraz bardziej niespokojnym świecie.

- Nie mogę z nią porozmawiać, kiedy tutaj siedzę - zauważyła, przenosząc najpierw Shauna, a potem Ewana na dywan i podsuwając im plastikowy garaż. - Pobawcie się tym. Wujek Julian zdejmie wam samochodziki z półki.

Adresowała te ostatnie słowa do mężczyzny z nadzieją, że wychwyci w jej głosie rozkazujący ton i wreszcie się ruszy, zamiast komentować na bieżąco sytuację.

Wstał z zadziwiającą gracją, jak na swój wzrost i

wyjściową pozycję na miniaturowym krzeselku, podszedł do półek pod ścianą i z wystudiowanym skupieniem zaczął wybierać małe samochodziki i ciężarówki.

Wujek Julian! Bliźniaki, po powrocie z wakacji u swojego wujka, u którego były z Madeleine, tylko o nim mówiły. Mieszkał i pracował w Londynie i jakiś czas temu, kiedy Ingrid poważnie zraniła się w nogę, Madeleine odesłała dziewczynę do Szwecji na rekonwalescencję, a sama przeniosła się z bliźniakami do Juliana do Londynu.

Teraz wujek Julian przyjechał tutaj.

Kłęczał obok, ustawiał samochodziki na różnych poziomach garażu, naśladując warkot silnika, zjeżdżał nimi po pochylniach i bardzo się starał wciągnąć do zabawy chłopców.

Z bliska wydawał się jeszcze większy, niż kiedy siedział na dziecięcym krzeselku - nie, nie to, że miał nadwagę, był duży tak w ogóle. Zajmował po prostu więcej miejsca niż normalny człowiek, a do tego w jakiś niewyjaśniony sposób konsumował więcej dostępnego powietrza niż mu się należało, przez co Daisy zaczęło trochę brakować tchu.

- Julian Austin - przedstawił się, nie przerywając manewrowania samochodzikami w garażu.

- Daisy Rutherford - powiedziała, studiując jego twarz.

Ciemne brwi, wysokie czoło, prosty nos - nie za duży, nie za mały, w sam raz. Usta też nie za wąskie, ani za szerokie, akurat takie, by stwarzać wciąż wrażenie, że zaraz się uśmiechną. No i te niesamowite, morsko zielone oczy.

- Co tak rozsierzdziło Ingrid? - zapytała.

Usta wygięły się, ale raczej w ponurym grymasie niż wesołym uśmiechu. Spojrzał na nią z namysłem.

- Chyba to, że spytałem ją, czy chciałaby mieć ze mną dziecko - powiedział i uśmiechnął się szerzej.

- O, naprawdę? - mruknęła z przekąsem Daisy, pewna, że to żart. - A to głupia dziewczyna! Taką okazję przepuścić koło nosa!

- Julian Austin pokiwał głową, uśmiech znikł z jego twarzy i Daisy odniosła wrażenie, że ten człowiek mówi poważnie.

- Żartujesz? - zapytała na wszelki wypadek, nie bardzo dowierzając swoim instynktom.

Wzruszył ramionami, jakby nie zrozumiał pytania.

- Dlaczego miałbym żartować?

A więc nie żartowałam...

- Bo kto wchodzi do czyjegoś domu i na początek pyta zastaną tam niańkę, czy chciałaby mieć z nim dziecko? Tak... tak...

Nie przychodziło jej do głowy właściwe określenie.

- Tak nie wypada, chciałaś powiedzieć? - podsunął Julian. - A według mnie to uczciwe postawienie sprawy.

Myślałem, że ona to doceni.

Daisy zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i uniosła ostrożnie powieki, by sprawdzić, czy nie przeniosła się aby do innego świata.

Nie przeniosła się, ale przewentylowany głębokim wdechem mózg zaczął wreszcie pracować.

- Długo się znacie? Utrzymywaliście jakiś kontakt na

odległość? - zapytała. - Może powinieneś się jej oświadczyć bardziej romantycznie. No wiesz,



„Kocham cię i chcę, żebyś za mnie wyszła”? To nie takie obcesowe i trochę bardziej romantyczne niż „Chcę mieć z tobą dziecko”.

Julianowi chyba niewygodnie było na klęczkach. Zaczął się wiercić i w końcu przyjął pozycję siedzącą, wyciągając przed siebie nogi.

- Ale ja jej nie kocham. Ledwo się znamy. Jestem tutaj dopiero od dwóch dni. Jak w tak krótkim czasie mógłbym ją pokochać? Zapewniam cię, że takie coś jak miłość od pierwszego wejrzenia istnieje tylko na filmach. W każdym razie nie przytrafia się ludziom, którzy hormonalną burzę wieku dojrzewania mają już za sobą. Po prostu Madeleine powiedziała mi, że Ingrid chce wyjść za mąż za lekarza, a ja jestem lekarzem, a więc spełniam ten warunek. Z tego, co mówiła Madeleine, wywnioskowałem, że zasugerowała to już Ingrid i przygotowała grunt, kiedy więc zobaczyłem, jak dobrze Ingrid radzi sobie z bliźniakami, to siłą rzeczy samo mi się jakoś powiedziało.

- Siłą rzeczy - powtórzyła cicho Daisy. - Wywnioskowałeś, że Madeleine przygotowała grunt?

O święta naiwności! Madeleine żyła od jednego strasznie ważnego wydarzenia towarzyskiego do drugiego, a w przerwach między nimi przesiadywała w salonach piękności i u swojego ulubionego fryzjera.

Daisy nie umieściłaby jej na czele listy swatek. Co tam na czele, nawet w ostatniej dziesiątce! Ale nie czas teraz krytykować styl życia Madeleine ani podawać w wątpliwość jej predyspozycje do kojarzenia małżeństw.

Nie czas też wytykać Julianowi brak taktu. Przede wszystkim musi zatrzymać Ingrid. Kręcąc z niedowierzaniem głową, podniosła się z dywanu i wymaszerowała z pokoju.

- Ingrid! - Zapukała w drzwi, chociaż te stały otworem. Śliczna blondynka zamykająca właśnie ostatni zastrzask walizki nie zaszczyliła jej nawet spojrzeniem. - Mogę wejść?

Ingrid wzruszyła obojętnie ramionami.

- Porozmawiaj ze mną, Ingrid. Powiedz, co się stało. Jakoś zażegnamy ten kryzys.-Nie możesz tak po prostu sobie pójść i zostawić bliźniaków.

- A pójde - oznajmiła Ingrid, stawiając jedną walizkę na podłodze i przystępując do wrzucania osobistych drobiazgów do drugiej, leżącej jeszcze na łóżku. - Nie spodziewałam się tego po Madeleine.

- Po Madeleine? Myślałam, że to Julian wyprowadził cię z równowagi.

Ingrid odwróciła się na pięcie i przeszła Daisy palającym wzrokiem.

- On też! - warknęła. - Ale po Madeleine się nie spodziewałam, że jestem dla niej rozplodowa krowa. Nic mnie nie obchodzą te jej dzieci.

Rozplodowa krowa? A więc Gabi prawidłowo wychyliła to odwołanie do świata zwierzęcego.

- U nas się mówi klacz zarodowa. Konie, nie krowy - automatycznie poprawiła Szwedkę. Udzielanie doraźnych lekcji angielskiego było stałym punktem programu wspólnych wypraw z bliźniakami do parku. - Czym Madeleine tak ci się naraziła?

- Powiedziała swojemu bratu, że będę miała jego dziecko. Jestem dla niej klacz zarodowa, rozumiesz?

Daisy już żałowała, że o to zapytała. Odpowiedzi Ingrid nie dość, że nic nie wyjaśniały, to jeszcze bardziej mąciły obraz sytuacji.

- Musiałś źle zrozumieć - oświadczyła, chociaż i jej nasunęło się podobne skojarzenie, kiedy usłyszała od Juliana, że zapytał Ingrid, czy chce mieć z nim dziecko.

Ale z pewnością...

- Tak czy owak, ja idę. Już powiedziałam Madeleine, że idę. Więcej zarobię w Japonii jako hostessa w eleganckiej restauracji. Mam tam koleżanki.

Daisy przypomniało się, że słyszała już coś o tym pomysle - Madeleine była przerażona, kiedy w centrum handlowym Ingrid zaczepił jakiś facet o aparycji handlarza białymi niewolnikami. Gabi i Alana próbowały pocieszać Madeleine, ale ona im nie wierzyła i najwyraźniej uknuła naprędce ten ratunkowy plan wydania Ingrid za swojego brata. Wykombinowała sobie bez wątpienia, że dzięki temu nie będzie musiała przyuczać innej niańki!

- Ale to dziwny kraj, musiałabyś się uczyć jeszcze jednego języka i podobno koszty utrzymania są tam bardzo wysokie.

Daisy, wytaczając ten ostatni argument, z trudem powstrzymywała uśmiech, pewna, że trafi na podatny grunt. Ingrid była bardzo czuła na punkcie wydawania pieniędzy.

- Właściciele restauracji dają mieszkanie i będę sobie mogła dorobić udzielaniem lekcji angielskiego.

Tym razem Daisy się uśmiechnęła, ale szybko połknęła ten uśmiech, by nie urazić Ingrid jeszcze bardziej.

- A co z bliźniakami? Bardzo przeżyją twoje odejście, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma Madeleine i Grahama.

Nie mogłabyś zostać do ich powrotu? To tylko cztery tygodnie.

Ingrid pokręciła głową, ale miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, by udawać zawstydzoną numerem, jaki wycina chlebodawcom, którzy byli przecież dla niej bardzo dobrzy.

- Ta praca jest aktualna teraz, nie za cztery tygodnie - mruknęła i współczucie Daisy przerodziło się w gniew.

- Zrobiłaś to z rozmysłem. Zaczekałaś, aż Madeleine wyjedzie, żeby nie suszyła ci głowy. Zachowanie Juliana nie ma tu nic do rzeczy.

Ingrid przeszła ją ognistym spojrzeniem.

- A ma. Znalazłabym sobie inną pracę w Japonii później.

Ale powiedziała to jakoś bez przekonania i uciekła wzrokiem w bok, co umocniło Daisy w jej podejrzeniu. Ale nie podzieli się nim z Julianem Austinem. Przekonany, że to on wypłoszył Ingrid, będzie się bardziej przykładał do opieki nad siostrzeńcami.

- Tu jest mój nowy adres. Niech Madeleine prześle mi na niego pieniądze, które jest mi winna.

Ingrid wepchnęła Daisy w dłoń karteczkę z adresem i zgarnęła z łóżka inne dokumenty, z których jeden podejrzanie przypominał bilet lotniczy. Wepchnęła je do torebki, przewiesiła ją sobie przez ramię, dźwignęła obie walizki i wyszła z sypialni.

- No, pięknie! - mruknęła do siebie Daisy, ale wyszła za Ingrid i otworzyła jej drzwi frontowe.

- Nie pożegnasz się nawet z bliźniakami? - spytała, kiedy Ingrid, postawiwszy walizki w holu, wduszała przycisk windy.

Ingrid po raz pierwszy opuściło zdecydowanie. Łzy napłynęły jej do oczu.

- To byłoby dla mnie za smutne - przyznała. - Traktowałam je jak własne dzieci, ale to nie moje dzieci. Trudno być nianią.

Daisy zrozumiała ją. Uścisnęła płaczącą teraz cicho kobietę, życzyła jej powodzenia i pomogła wtaszczyć walizki do kabiny.

- Tak, to była bardzo skuteczna mediacja! - usłyszała za plecami, kiedy za Ingrid zasunęły się drzwi.

Obejrzała się. W progu apartamentu stał Julian.

- Miała bilet na samolot. Nic się już nie dało zrobić - oznajmiła.

- A pod domem czeka taksówka. Taksiarz dzwonił właśnie z holu. - Julian przeczesał palcami włosy, jeszcze bardziej je mierzwiąc. - Ona i tak zamierzała odejść?

I to by było na tyle, jeśli chodzi o wykorzystanie poczucia winy do zapewnienia bliźniakom lepszej opieki!

- Na to wygląda - przyznała Daisy, ale nie zamierzała tak łatwo spuścić go z haczyka: - Ale ty zdecydowanie utwierdziłeś ją w tym postanowieniu. Jak, u licha, mogłeś spytać kobietę, którą ledwie znasz, czy chce mieć z tobą dziecko?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie nadbiegł Shaun z żądaniem, by wujek Julian natychmiast wracał do bawialni. Julian, ciągnięty za rękę w głąb mieszkania, obejrzał się jeszcze i rzucił:

- Bo ja naprawdę chcę mieć chociaż jedno dziecko. Zatrzymał się, podniósł siostrzeńca, oparł go sobie o biodro, odwrócił się i dodał:

- A najlepiej dwoje albo troje, tylko że produkowanie na zawołanie dwojaczków tudzież trojaczków to nie w kij dmuchał. Na początek zadowolę się jednym.

To powiedziawszy, zrobił znowu w tył zwrot i zaczął się oddalać z siostrzeńcem w kierunku bawialni. Daisy, którą zaintrygowało to dziwaczne oświadczenie i chętnie by na ten temat podyskutowała, pozostawiało tylko ruszyć za nim truchtem.

- Kobiecie, która zapragnie potomstwa, jest bez porównania łatwiej - ciągnął Julian tonem, jakim rozmawia się o pogodzie, polityce albo sporcie! - To ona w praktyce wydaje dziecko na świat, kiedy więc postanowi, że chce je mieć, sprawa jest prosta. Wystarczy, że poszuka sobie mężczyzny, który ją pokryje, ewentualnie dawcy spermy, w którym to przypadku zachodzi w ciążę w mniej kontaktowy sposób.

No nie, zdecydowanie świat równoległy, orzekła w duchu Daisy. I pomyśleć, że z przymrużeniem oka traktowała zawsze fantastykę naukową. Byli znowu w bawialni, Julian siedział w kucki, bawił się z chłopcami samochodzikami i ciągnął ten widać zupełnie w jego mniemaniu logiczny wywód.

Bo czy chciałoby mu się strzepić sobie język na coś, do czego nie jest przekonany?

- Za to mężczyźnie, który chce mieć dziecko, potrzebna jest kobieta, która mu je donosi, urodzi i, jeśli tylko nie będzie jakichś przeciwwskazań, wykarmi piersią we wczesnym okresie niemowlęctwa. Jestem

zdania, że dziecko lepiej się chowa, mając oboje rodziców, zatem w grę wchodzi również małżeństwo... - Tu obejrzał się na Daisy, chyba żeby się upewnić, czy jeszcze go słucha, i upewniwszy się, podjął: - żeby z punktu widzenia dziecka, kiedy już podrośnie, wszystko było legalne i nie sprzyjało popadaniu w kompleksy. Jestem człowiekiem spokojnym, schludnym, nie palę, wypiję czasem piwo albo kieliszek wina, ale nie będę się przy tym upierał, gdyby partnerce to przeszkadzało, do tego dobrze zarabiam, a ściślej mówiąc, będę, kiedy ruszy praktyka, którą właśnie kupuję. Nie chwaląc się, w pewnych kręgach mógłbym uchodzić za niezłą partię.

Odebrał Ewanowi samochodzik, który chłopczyk próbował wepchnąć sobie do buzi, i podjął, zupełnie jakby postawił sobie za punkt honoru, że musi przekonać Daisy do swojej poczytalności.

Jak dotąd, nie za bardzo mu to szło!

- Najważniejsze, widzisz, jest doświadczenie. Są położnicy mężczyźni, którzy nie mieli nigdy dziecka, większość ortopedów nie złamała sobie nigdy nogi, neurochirurdzy nie mają guzów mózgu...

- No dobrze już, dobrze, rozumiem, o co chodzi. Nie trzeba doświadczyć na własnej skórze danego problemu, żeby pomagać w jego rozwiązaniu innym. Ale do czego zmierzasz?

- Do tego, że w przypadku pediatrów sprawa przedstawia się inaczej i...

- Jesteś pediatrą?

Tym razem puścił mimo uszu pytanie Daisy.

- ...i można sobie do woli pouczać ludzi, jak mają dbać o dzieci, co należy, a czego nie, ale w końcu przychodzi taki moment, że wszyscy bez wyjątku pytają mnie, czy ja też jestem ojcem. I kiedy przyznaję, że nie, w ich oczach pojawia się coś w rodzaju lekceważenia i już mam pewność, że nie zastosują się do moich zaleceń, bo co ja tam mogę wiedzieć...

Pogubionej kompletnie Daisy zaczęło wreszcie coś świtać.

- A ty wiesz? - spytała.

- I to sporo - odparł z przekonaniem, nadal pochłonięty zabawą z siostrzeńcami. - Mam za sobą staże w kilku najbardziej znanych szpitalach dziecięcych na całym świecie, pracowałem też dużo z dziećmi niepełnosprawnymi, jak również trudnymi, sprawiającymi problemy wychowawcze. Słyszałaś o modyfikacji zachowań?

- Coś tam obilo mi się o uszy - mruknęła Daisy i Julian nagle drgnął.

Obejrzał się na nią, w jego szmaragdowych oczach malowało się zaskoczenie i coś jeszcze - zakłopotanie?

Daisy Rutherford! Przedstawiłaś się przecież, a ja sobie nie skojarzyłem. - Wstał i wyciągnął rękę. Podała mu automatycznie swoją. - Bardzo przepraszam - dodał z pokorą. - Nie miałem pojęcia. Cała Madeleine! Nic mi nie powiedziała, że mieszkasz w jej budynku. Twoja rozprawa o nagrodzie i karze była wspaniała. Za długo już brniemy w ślepy zaułek wychowania bezstresowego. Miejsce na karę zawsze istnieje, byle tylko, jak to podkreśliłaś, nie upokarzała i była adekwatna do winy.

- Dziękuję - mruknęła Daisy, zastanawiając się, dla-



czego jej dłoń nadal pozostaje w uścisku Juliana, i dlatego ona nie próbuje jej uwolnić.

- Bo tak tam ciepło - i jakoś tak bezpiecznie... Bzdura! Cofnęła rękę i dla większej pewności wsunęła ją do kieszeni.

W kieszeni jest bezpiecznie!

- Zawsze z wielkim zainteresowaniem czytam twoje publikacje - rozplýwał się w zachwytach Julian. - Ale dziecka to byś pewnie ze mną mieć nie chciała?

Daisy wiedziała, że to żart, ale ona chce mieć dziecko, zaś ten mężczyzna jest bezsprzecznie inteligentny, wygląda na zdrowego, bliźniaki stanowią dowód, że jego rodzina nie jest w jakiś widoczny sposób obciążona genetycznie...

- Może bym i chciała - powiedziała i widząc szok, który odmalował się na jego twarzy, pośpieszyła czym prędzej z wyjaśnieniem: - Zrezygnowałam właśnie z pracy, żeby urodzić dziecko, ale chociaż fizycznie mogę już się o nie starać...

Urwała, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Poderwała dłonie do pałających policzków.

- Chwileczkę, jeszcze raz - wykrztusiła. - Chciałam powiedzieć, że przestałam pracować w nocy, żeby... nie, to chyba jeszcze gorzej, prawda?

Spojrzała błagalnie na Juliana i ten, choć z pewnością rozbawiony, uśmiechnął się do niej wyrozumiale. Pewnie w ten sam sposób uśmiecha się do swoich małych pacjentów.

- Weź głęboki oddech i spróbuj jeszcze raz - poradził.

Daisy pokręciła głową.

- Nie, dosyć tego. Zrobiłam już z siebie wystarczającą idiotkę. Lepiej wrócę do swojego mieszkania i skonam tam ze wstydu.

- Ani mi się waż!

- Od wyrozumiałości do autorytatywności.

- Skonać ze wstydu? - spytała i zdobyła się na wymuszony uśmiech. - To mi raczej nie grozi. Pracowali już nade mną najwięksi eksperci od upokarzania, a jednak żyję.

- Nie to miałem na myśli! - Julian zbył jej paplaninę machnięciem wielkiej dłoni. - Ani się waż teraz mnie zostawiać. Z bliźniakami, znaczy się. Jak ja sobie dam radę? Co mam robić?

- Zajmować się nimi. Wdrażać teorię w praktykę - zaproponowała z uśmiechem. - Pomyśl tylko, jak dzięki temu urośniesz w oczach rodziców swoich pacjentów.

Dzięki Bogu zeszli z tematu „posiadania dzieci”. Jedyna nadzieja w tym, że zaafierowany szukaniem nowej niani zupełnie zapomni, że go poruszyli. No, wystarczyłoby, żeby zapomniał tylko o jej błyskotliwym wkładzie w dyskusję.

- Ten weekend może jakoś przetrzymam... - urwał, obdarzył ją przymilnym uśmiechem i dodał: - z twoją pomocą. Ale w poniedziałek idę do pracy. Co wtedy?

- Musisz się skontaktować z Madeleine. Może korzystają już z usług jakiejś awaryjnej opiekunki do dzieci. Coś ci doradzi.

Julian pokręcił głową i tym razem wyjątkowo się nie uśmiechnął. Twarz miał zafrasowaną.

- Nie chcę jej denerwować - mruknął. - Graham nie czuje się za dobrze. Długo nie mógł się wykaraskać z dolegliwości gastrycznych, których nabawił się w szpitalu, a teraz, chociaż się do tego nie przyznaje, cierpi chyba na coś bardzo przypominającego syndrom chronicznego zmęczenia. Madeleine ma nadzieję, że ta zmiana klimatu pomoże mu dojść do siebie.

- Ojej! - powiedziała Daisy. - A gdybyś zadzwonił, wróciłyby. Oboje by wrócili.

Julian pokiwał posępnie głową.

Gdybym tylko obmyślił jakiś sposób zapewnienia opieki bliźniakom, nie musiałbym powiadamiać Madeleine, że Ingrid odeszła.

- A dziadkowie? Czy wasza matka... a może matka Grahama mieszka gdzieś w pobliżu?

- Dziadkowie! Że też o tym nie pomyślałem. Popilnuj ich, dobrze? A ja zadzwonię do domu.

Daisy kiwnęła głową i usiadła na podłodze przy chłopcach.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Mama przyjedzie w poniedziałek. Z ojcem. Wybierają się oboje, bo tato ma jakąś sprawę w Westside. Będą z samego rana i może zdążę jeszcze do pracy.

Uśmiech Juliana wyrażał zadowolenie z załatwienia tej odsieczy, ale był jednocześnie przymilny, tak więc Daisy wcale nie zaskoczyło, kiedy dodał:

- Myślisz, że damy sobie do tego czasu radę?

- My?

- No, chyba mi pomożesz? - zaniepokoił się. - Kiedy będziesz mogła, oczywiście. Wiem, że masz swoje życie i pewnie mnóstwo planów na ten weekend, ale sama powiedziałaś, że nie pracujesz, gdybyś więc znalazła wolną chwilę...

Daisy przebiegła w myślach swoje plany na weekend. Ale ich lista zaczynała się i kończyła na wyprawie do sklepu odzieżowego - nie pokaże się przecież w pracy w przychodni w wygodnym, ale raczej niedbałym stroju, w którym chodziła po domu i wieczorami do stacji radiowej.

- No dobrze, pomogę ci - westchnęła i promienny uśmiech Juliana przyprawił ją o wyrzuty sumienia, że zgodziła się z takim ociąganiem.

- Wspaniale! - zawołał z przesadnym entuzjazmem,

a potem dodał: - Będziemy mogli sobie spokojnie omówić kwestię tego dziecka.

- Nie ma żadnej kwestii dziecka - ucieła stanowczo Daisy, odwracając się do bliźniaków, żeby nie widzieć szoku i rozczarowania, które odmalowały się na wyrazistej twarzy Juliana.

- Jak to? Przecież powiedziałaś, że może być była zainteresowana - przypomniał jej.

- Tak mi się wymknęło - odparła. - Naprawdę chcę mieć dziecko, ale pomijając fakt, że nic o sobie nie wiemy, to nie miałbyś z tego dziecka wielkiej pociechy, jeśli chodzi o zdobywanie zawodowego doświadczenia.

Patrzył na nią teraz spod ściągniętych brwi.

- A to dlaczego? - mruknął, pochylając się, żeby rozdzielić bliźniaków wrywających sobie mały samochód strażacki. - Dziecko to mimo wszystko dziecko.

Rzuciła mu pełne politowania spojrzenie.

- Ty chcesz mieć dziecko, żeby jako ojciec, który czynnie uczestniczy w wychowywaniu własnego dziecka albo dzieci, zdobyć zaufanie rodziców swoich pacjentów. A ja szukam tylko dawcy spermy, i chociaż mogłabym się zgodzić na zawarcie jakiegoś sensownego układu z biologicznym ojcem, gdyby zależało mu na regularnych kontaktach z dzieckiem, to większość rodzicielskiej opieki sprawować zamierzam samodzielnie.

Daisy sama się sobie dziwiła, że prowadzi taką intymną rozmowę z człowiekiem, którego praktycznie nie zna.

- Chcesz zostać samotną matką? - wykrztusił z takim niedowierzaniem, że Daisy ogarnęła złość.

- A co w tym złego? - odparowała. - Zaraz mi pewnie powiesz, że dziecko potrzebuje obojga rodziców? Wbijają nam się w głowę, że to ideał, ale jak często jest tak naprawdę? A jeśli rodzice wciąż drą ze sobą koty? A jeśli któreś z nich zmienia w regularnych odstępach czasu partnerów i dziecko zamiast jednego, ma sześciu albo siedmiu tatusiów? Nie zamierzam zająć w ciążę przez przypadek. Zaplanowałam ją sobie, odkładałam na nią pieniądze, żeby móc spędzić z dzieckiem pierwsze najważniejsze w jego życiu lata. Popatrz na dzieci tych swoich idealnych par. W trzecim miesiącu łądają w żłobkach, bo oboje rodzice pracują. Popatrz na...

- Spokojnie!

Julian dotknął łagodnie ramienia Daisy i chociaż było to ledwie muśnięcie, ciarki przebiegły jej po całym ciele.

- Wiem, że byś sobie poradziła, i wiem, że większość samotnych rodziców wspaniale wychowuje swoje dzieci. Chodzi mi tylko o problemy, z którymi samotni rodzice mają do czynienia. Ty masz prawdopodobnie dobre zaplecze rodzinne, matkę, która może wpaść, kiedy zachorujesz, przyjaciół, którzy zawsze ci pomogą, ale to mimo wszystko ogromne zadanie wymagające wielu wyrzeczeń.

Słyszała w jego głosie troskę i widziała ją w jego oczach, ale kiedy wspomniał o matce, poczuła znowu ten niepokój, który czaił się gdzieś pod całą jej buńczucznością, odkąd podjęła tę decyzję. Spuściła głowę, by nie widział jej twarzy i nie domyślił się, że opuszcza ją odwaga.

- Rzecz w tym - podjął Julian, usadziwszy chłopców z klockami przy stoliczku - że zapewne nigdy nie roz-

ważała na poważnie alternatywy dla samotnego rodzicielstwa. Jeśli w twoim życiu nie ma aktualnie żadnego mężczyzny, to jeszcze nie znaczy, że nigdy go nie będzie, prawda?

- No nie! - zachnęła się, prostując się i obrzucając tego irytującego typu pełnym wściekłości spojrzeniem.

- Masz mnie za skończoną nieudacznicę? Dowiedz się, że w moim życiu nie ma żadnego mężczyzny, bo mi się tak podoba!

Nie wątpię - odparł. - Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą. Ale czy zastanawiałaś się nad tą alternatywą? Nad układem, który chciałem zaproponować Ingrid? Nad małżeństwem z rozsądku, czymś w rodzaju partnerstwa w interesach?

- Nie, nie zastanawiałam się i teraz też nie zamierzam - warknęła Daisy.

- Ale musisz przyznać, że to wiele by ułatwiło. Po pierwsze, odpadłoby ci poszukiwanie odpowiedniego dawcy. A znalezienie takiego wcale nie jest proste. Jak zamierzasz się za to zabrać? Dasz ogłoszenie do prasy?

Zerknęła na niego podejrzliwie, pewna, że stroi sobie z niej żarty, ale on się wcale nie uśmiechał. Patrzył na nią poważnie, nawet z zainteresowaniem w oczach. No i trafił w sedno. O tym dotąd nie pomyślała.

- Coś w rodzaju: „Samotna nieudacznica poszukuje dawcy spermy”? - spytała chłodno. - Na tyle zdesperowana jeszcze nie jestem.

Podniosła się z podłogi.

- Zrobię chłopcom herbaty.

Z tymi słowami wyszła z pokoju z wysoko uniesioną

głową. Miała nadzieję, że do Juliana Austina dotrze przesłanie, że ona ten temat uważa za zamknięty. Na zawsze.

- To dwa małe potwory! - jęknął Julian, opadając w salonie na fotel i ocierając czoło wielką białą chusteczką.

Była pierwsza trzydzieści po południu i chłopcy w końcu zasnęli, ale zanim to nastąpiło, Julian i Daisy musieli im czytać - chórem!

- Wykorzystują nas - mruknęła Daisy.

Siedziała w fotelu naprzeciwko niego, opierając stopy o stolik do kawy. Ciekawe, co by powiedziała Madeleine, gdyby zobaczyła, że używa tego stolika w charakterze podnóżka.

- To co robimy?

Daisy wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przekornie.

- Ty tu jesteś ekspertem.

Ale mocnym tylko w teoriach, i jak niektórzy rodzice zaczynam się coraz krytyczniej do tych teorii ustosunkowywać. Dlatego potrzebna mi rodzina, własne dzieci, żebym mógł na nich eksperymentować, które są coś warte, a które nic.

O kurczę, on znowu swoje, pomyślała Daisy, ale wbrew samej sobie dała się złowić na haczyk.

- Masz coś przeciwko osiągnięciu tego celu w tradycyjny sposób? No wiesz, bywasz, poznajesz kobiety, spotykasz w końcu tę szczególną, która cię pociąga, za kochujesz się, żenisz i po jakimś czasie na świat przychodzi dzieci? Zdaję sobie sprawę, że czas ucieka



i chciałbyś mieć dziecko już teraz, ale co będzie, jeśli kobietę swojego życia spotkasz już po znalezieniu sobie klaczy zarodowej?

- Klaczy zarodowej? Wielkie nieba! Myślisz, że tak odebrała moją propozycję Ingrid? Nic dziwnego, że się obraziła.

Wyglądał na tak autentycznie zaskoczonego, że Daisya pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Wchodzisz w piątek o świcie prosto z ulicy i pytasz kobietę, którą ledwie znasz, czy chce mieć z tobą dziecko. Jak według ciebie miała to odebrać?

Poprawił się w fotelu, tak jakby ten zrobił się nagle za ciasny dla niego.

- Jako żart? - zaryzykował.

- Tylko że to nie był żart - przypomniała mu, prowokując go do przeciągłego westchnienia i ponownego przeczesania palcami włosów. - Prawda?

Pokręcił głową.

- A wydawało się takie proste, kiedy zacząłem o tym myśleć. Znaleźć kobietę, która chce mieć dziecko i która nie uzna mnie za całkiem odpychającego, a w zamian zaoferować jej dach nad głową, wszelką pomoc, bezpieczeństwo finansowe, koleżeństwo...

- Regularny seks!

Roześmiała się, widząc jego minę.

- Wiesz, koleżeńskie stosunki to za mało, żeby mieć dziecko.

Czyżby się rumienił?

Niemożliwe! Rumieniący się mężczyzna?

- Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pierwsze py-

tanie. Skoro tak chcesz mieć dziecko, to dlaczego nie dążysz do tego w tradycyjny sposób, zalecając się, zakochując i żeniąc?

- A ty? - warknął, odbijając piłeczkę.

- Ja pierwsza zapytałam - zauważyła. Roześmiał się, wstał i powiedział:

- Też prawda, ale zjedzmy coś, zanim te potwory się pobudzą.

Skierował się w stronę kuchni, ale postąpiwszy kilka kroków, zatrzymał się i odwrócił do Daisy zdejmującej niechętnie nogi ze stolika.

- Zostań tu. Jestem ci tak zobowiązany za pomoc, że sam przyrządzę ten lunch. Jakieś preferencje? Alergie?

Może kieliszek wina do posiłku? Graham ma nie tylko wielką piwnicę w podziemiach tego budynku, ale również chłodziarkę do wina w spiżarni.

Julian Austin szedł do kuchni ze świadomością, że musi się do Daisy przymilać, kadzić jej, karmić ją, robić wszystko, żeby nie przyszło jej czasem do głowy wycofać się z obietnicy pomocy przy bliźniakach. Co prawda to tylko trzy dni, ale bez niej na pewno by sobie z nimi nie poradził. Postanowił, że na początek olśni ją swoimi kulinarnymi umiejętnościami. Otworzył lodówkę i zajrzał do środka, ale myślami był wciąż przy Daisy.

Wyobraził ją sobie, jak siedzi w wielkim fotelu, w jasnoróżowej bluzce, która kontrastuje silnie z masą ciemnych włosów. W jej życiu nie ma żadnego mężczyzny, bo tak się jej podoba.

Ciekawe, skąd to nastawienie i co leży u jego podstaw.

Wyjął z lodówki oliwki, ser, suszone na słońcu pomidory, letycję - do tego szynka albo pastrami do wyboru...

Na pewno jakiś nieudany związek. Tak, wszyscy przez to przechodzą. Nawet on, taki w tych sprawach ostrożny, się nie ustrzegł. A ponieważ proces odkochiwania się jest taki czasochłonny i nie pozwala się skupić na pracy, unikał przez ostatni rok wszelkich kontaktów z kobietami.

Ser jest proteiną, zapomniał o mięsie, ale może chleb? Zamrażarka. Ha, małe porcyjki tureckiego chleba - tureckie bułeczki? Można je rozmrozić w mikrofalówce.

Ale jest bezsprzecznie inteligentna i zdecydowanie atrakcyjna - dlaczego ktoś miałby ją porzucić?

Wyprostował się, położył produkty, które wybrał, na stole pośrodku kuchni, po czym kolanem zamknął drzwi lodówki. Co za różnica, czemu Daisy Rutherford zrezygnowała z mężczyzn? Najważniejsze, że jest wolna.

Nie tylko wolna, ale również inteligentna, po studiach w pokrewnej dziedzinie, co znaczy, że mogliby razem pracować - no i chce mieć dziecko.

Przez najbliższe trzy dni spędzą ze sobą sporo czasu. Postara się wykorzystać tę okazję i wysondować jej preferencje...

- Co tak długo tu się grzebiesz? Ja przez ten czas przygotowałabym już lunch dla batalionu wojska.

Preferencja stała w szerokim łukowatym przejściu między kuchnią a jadalnią. Różowa bluzka była bardzo obszerna, ale przez cienki materiał prześwitywała jej sylwetka. Nie była chuda jak szczapa, ale przy kości też nie. Była w sam raz, a o ile mu było wiadomo, kobiety

noszą takie workowate koszule, by ukryć rzeczywiste czy też urojone niedoskonałości figury. I nagle wyobraził sobie Daisy stojącą tam, gdzie stoi, z tym że zamiast słodkich krągłości talii i bioder spod jaskrawej koszuli prześwituje wzdęty pięknie ciężą brzuch...

Ta wizja w jednej chwili go otrzeźwiła.

Ona szuka dawcy spermy, nie męża, przypomniał sobie.

- Właśnie chciałem wrzucić to wszystko na talerz i dobieralibyśmy sobie z niego. Chcesz zimnego mięsa? Na pewno gdzieś tu jest, tylko nie mogę znaleźć.

Przecięła kuchnię, otworzyła drzwiczki zamrażarki i pochyliła się, zaglądając do środka. Białe spodnie opięły się na pośladkach.

- A sprawdzałeś na tej półce z etykietą zimne mięsa?  
- zapytała, prostując się i pokazując palcem swoje znalezisko.

- Właśnie chciałem sprawdzić - powiedział, wrywając jej z ręki owiniętą w biały papier paczuszkę. -  
Czyli

wszystko na jeden talerz i każdy sobie bierze?

Kiwnęła głową, wyjmując z szuflad i szafek noże, serwetki i talerzyki na chleb i masło.

- Pośpieszmy się, bo Shaun i Ewan zaraz się obudzą. Julian spojrział na nią i po raz pierwszy zauważył, że oczy ma dziwnego koloru, którego nie potrafił nazwać - ni to szare, ni zielone, gdzieś pomiędzy.

Ale oczy oczami, a ona pewnie głodna. Zakrzętała się przy wykładaniu na talerz tego, co wyjął z lodówki. Na koniec odwinął plastry mięsa i położył je pośrodku.

- Pomogłaś mi więcej niż trzeba, zważywszy, że wjechałaś tylko na górę w odpowiedzi na wołanie Gabi

o pomoc. Do wieczora już dotrwam, ale pomyślałem sobie, że może wypracowalibyśmy przy lunchu jakiś plan.

Uśmiechnęła się i te oczy dziwnego koloru roziskrzyły się i przez chwilę wyglądały jak srebrne.

- Kiedy zaczynamy, kiedy robimy przerwę, kiedy kończymy? - powiedziała. - Wydaje mi się, że bardzo potrzebujesz pomocy, twoja mama też sobie sama nie poradzi. Skrzyknę pospolite ruszenie. Jest nas, starych lokatorów, którzy znają bliźniaków od osesków, sporo w tym budynku. Gabi mnie w to wrobiła, a więc ona pójdzie na pierwszy ogień.

Julian odwrócił się, żeby wyjąć z mikrofalówki rozmrożone bułeczki. Przenosząc je szczypcami na talerz, powiedział:

- Tak, tak, wrobiła cię. Bez dwóch zdań. Przepraszam. Mam nadzieję, że nie zgodziłaś się tylko dlatego, że nie potrafisz odmówić?

Daisy roześmiała się.

- Nie przesadzaj z tą obłudą - powiedziała. - Dobrze wiedziałeś, za jakie sznurki pociągnąć, żebyś się zgodziła: Graham nad grobem, Madeleine cała w nerwach. Nie wspomniałeś tylko, że wasz ojciec jest właścicielem tego budynku i mógłby mnie eksmitować, gdybym odmówiła.

- Jak możesz nawet tak pomyśleć! - mruknął Julian i szturchnąwszy ją nierozpakowanym klinem sera brie, dodał: - Ale na pewno będę o tym pamiętał, jeśli zostawisz mnie na lodzie.

Julian rozpakował ser i położył go na talerzu.

-Może wrócimy do salonu? Tam są najwygodniejsze fotele w całym mieszkaniu. Jadalnia Madeleine wygląda może wytwornie, ale te jej eleganckie krzesła to istne narzędzia tortur dla pleców wysokiej mężczyzny, a nogi nie mieszczą mi się pod stołem.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył z talerzem do salonu. Idąc za nim, Daisy przyłapała się na tym, że podziwia jego plecy. Wytłumaczyła sobie, że to dlatego, bo od dawna nie studiowała pleców żadnego mężczyzny. Pleców Juliana Austina też nie zamierzała studiować, ale miała je przed sobą i siłą rzeczy musiała na nie patrzeć.

Julian postawił talerz na stoliku - już nie oprę o niego nóg, przemknęło przez myśl Daisy - odebrał od niej to, co niosła, i wskazał fotel.

- Pozwól, że cię przynajmniej obsłużę - powiedział, kładąc na mniejszym talerzyku kromkę chleba, a potem każdego frykasa po trochu. - Widelca nie chcesz? - spytał z uśmiechem.

- Mogę jeść palcami - odparła i powtórzyła sobie w duchu, że mężczyznom nie wolno ufać, choćby nie wiem jak śmiejące się oczy mieli. - Znasz rozkład dnia dzieci, albo może Madeleine zostawiła ci jakieś instrukcje? - spytała, by skierować temat rozmowy z powrotem na bezpieczne wody opieki nad dziećmi.

Odstawił napelniony talerzyk. . -

- Zostawiła mi całą teczkę instrukcji. Mam ją w sypialni. Nie zaglądałem jeszcze do środka, bo pomyślałem sobie, że Ingrid ma to wszystko w małym palcu, a skąd mogłem wiedzieć, że odejdzie.

Uśmiechnął się.

- Może lepiej ją przyniosę. Zostań jeszcze.  
Skierował się do drzwi, ale zawrócił z uśmiechem, nie dochodząc do nich.

- Rzucamy tak sobie od niechcenia, prawda, „zostań jeszcze”? Ale wierz mi, Daisy, tym razem naprawdę chcę, żebyś została. To najpoważniejsze „zostań jeszcze”, jakie w życiu słyszałaś. Uratowałam mnie przed obłędem, przychodząc tu rano, a potem przypominając mi, że mam matkę, która może mnie poratować, ale kto wie, może załamałbym się kompletnie, gdybyś wyszła, zanim opracujemy nasz plan.

- Nasz plan?

- Niech ci będzie, mój plan. Plan „dalszego ratowania Juliana przed zwariowaniem w weekend”. Tak lepiej?

Uśmiech, który zdawał się nie schodzić z jego warg, jeszcze bardziej się rozszerzył i Daisy go odwzajemniła.

- Nie wiem, dlaczego wymyśliłaś sobie, że posiadanie dziecka doda ci wiarygodności w oczach rodziców twoich pacjentów - powiedziała. - Moim zdaniem potrafisz ich zaczarować, żeby w ciebie uwierzyli, każdym słowem, które wypowiadasz, obojętne, czy masz osobiste doświadczenie, czy nie.

- To taki dar - rzekł Julian bez fałszywej skromności. - Matka mówi, że się z nim urodziłem. Podejrzewa, że dostałem go dla zrekompensowania faktu, że jestem zbyt inteligentny. Mówi, że dzięki niemu ludzie widzą we mnie człowieka. Ale według mnie to tylko kwestia tego, że mam za szerokie usta i wyglądam z nimi, jakbym się bez przerwy uśmiechał.

Urwał, jakby przestraszony, że za dużo jej wyjawiał, a potem dodał:

- To ja przyniosę te instrukcje - i wybiegł z pokoju. Rekompensata za bycie zbyt inteligentnym? Czyżby czuł się odsuwany - może izolowany - z powodu swojej wybujałej inteligencji? Czy to przez nią nie wychodziły mu dotąd związki z kobietami?

To mogłoby wyjaśniać te uzgadnianie przez obie strony kontrakty małżeńskie, które chodzą mu wciąż po głowie - racjonalna decyzja menedżerska zamiast...

- No, mam, i wiesz co?

Wrócił, zanim Daisy zdążyła dokończyć tę myśl.

W piątkowe wieczory, chyba mamy jeszcze piątek, jakiś Jason przychodzi o dwudziestej, kiedy bliźniaki leżą już w łóżeczkach - wcześniej jest napisane, żeby kłaść ich o dziewiętnastej - i żeby pamiętać o nich, kiedy schodzimy na kolację do Mickeya. To ten barek na parterze, tak?

Jason to nastolatek mieszkający z wujkiem na trzecim piętrze - wyjaśniła Daisy - ale Madeleine nie mogła użyć liczby mnogiej, pisząc o tym schodzeniu na kolację do Mickeya, bo nie wiedziała, że ktoś tu z tobą będzie. Ingrid piątki miała zawsze wolne, więc...

Julian przerwał ten potok słów uniesieniem ręki.

- Miała na myśli siebie i Grahama - wyjaśnił - ale sugeruje tutaj, że bym kultywował ten zwyczaj, bo zapłaciła już Jasonowi za siedzenie przy śpiących bliźniakach.

- Podniósł na Daisy wzrok i obdarzył ją kolejnym „darowanym” uśmiechem.

- To może nawet dobry pomysł - przyznała, odłamując kawałek chleba, kładąc na niego plaster sera, a na wierzch plaster pomidora - zwłaszcza jeśli chcesz zwer-



bować kogoś swojej matce do pomocy. Poznasz kilku pozostałych lokatorów. Prawie każdy, komu nie wypadł akurat dyżur, wpada w piątek wieczór do Mickeya na drinka albo na kolację.

- Jeśli ja chcę kogoś zwerbować? - powtórzył z takim niedowierzaniem w głosie, że nie mogła powstrzymać uśmiechu. - A co z pracą w zespole? Z nami dwójkiem, pracującymi ramię w ramię? I kto mnie przedstawi tym wszystkim nieznanym?

- Nie wspominając już o ochronie przed drapieżnymi kobietami - dokończyła za niego Daisy. Na nic się zdawały wszelkie próby opierania się jego urokowi. Julian był po prostu zbyt ujmujący. - Dobrze, pójdę tam z tobą - zgodziła się - ale przedtem muszę popracować. Może skończę ten lunch, zjadę do siebie, a potem wrócę pomóc ci przy robieniu im kolacji. Madeleine napisała, o której jedzą?

Julian otworzył teczkę.

- Siedemnasta trzydzieści, lista na lodówce - przeczytał.

- To ta lista preferowanych składników posiłku, - domyśliła się Daisy. - Widziałam ją. Zatem o piątej jestem z powrotem. Nie, chwileczkę, kąpiel przed czy po kolacji?

- Jeśli taki chlew, jak dzisiaj przy śniadaniu i lunchu, robią również podczas kolacji, to na pewno po.

Zajrzał znowu do instrukcji Madeleine.

- A jednak przed.

Podniósł na nią pełne przerażenia oczy.

- Nie przesadzaj - powiedziała. - Będę o wpół do piątej.

- Może sama chcesz postudiować tę instrukcję obsługi? - zasugerował.

- Nie teraz - powiedziała, wsuwając sobie do ust ostatni kawałek sera. - Naprawdę muszę już iść.

Nie protestował. Odstawił swój talerzyk, wstał, odprowadził ją do drzwi i przywołał windę.

- "Dziękuję" to zdecydowanie za mało powiedziane, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy - powiedział i wyczytała z jego oczu, że nie żartuje.

- Na razie wystarczy - odparła, wsiadając do windy.  
- Powodzenia!

- Uśmiechnął się, uniósł rękę i pokiwał do niej samymi palcami - jak machające na pożegnanie dziecko! W chwilę potem zniknął jej z oczu za zasuwającymi się drzwiami kabiny.

Stąd między innymi bierze się ten jego nie odparty urok, pomyślała Daisy. Pozuje na zagubionego chłopczyka.

Ale na nią to nie działa! Zgodziła się mu pomóc, bo tak trzeba. Z żadnego innego powodu. A że dobrze jej się z nim rozmawia i przekomarza, to już zupełnie inna sprawa.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Julian wyniósł do kuchni brudne talerze, zajrzał do bliźniaków, by sprawdzić, czy jeszcze śpią, po czym usiadł i przeczytał do końca instrukcje Madeleine.

Ledwie skończył, z sypialni chłopców doleciał wrzask obwieszczający, że przynajmniej jeden z nich nie dość że sam się obudził, to zamierza jeszcze obudzić brata.

Koniec spokoju.

O szesnastej dwadzieścia dziewięć Daisy, wracając tak jak obiecała do penthouse'u, spotkała Juliana z bliźniakami w jadącej na górę windzie. Chłopcy siedzieli w podwójnym wózku przytroczeni do niego szelkami i lizali rozpuszczające się lody, którymi zdążyli już wymazać sobie buzie i zachłapać ubranka.

-Madeleine nie napisała w instrukcjach, że oni podczas południowej drzemki zmieniają charaktery - wyburczał ponuro Julian. - Dam ci dobrą radę. Jeśli zdarzy ci się zostać tu z nimi po południu sam na sam, za nic nie pozwól im zasnąć. Zawsze powtarzam rodzicom, że dzieciom jest potrzebny choćby jeden krótki odpoczynek w ciągu dnia, ale tych dwóch? Diabeł w nich wstąpił, kiedy się obudzili.

- Ja, jeśli zdarzy mi się zdrzemnąć w ciągu dnia, bu-

dę się rozdrażniona - oświadczyła Daisy, zabierając bliźniaków prosto do łazienki i puszczając wodę do wanny. - Może z nimi jest tak samo.

- Rozdrażnienie to mało powiedziane - odparł Julian, ściągając z malców lepiące się ubranka. - Teraz rozumiem, dlaczego niektórzy rodzice są zbulwersowani moi mi kazaniem i dopytują się, czy sam mam dzieci. W teorii wszystko jest prostsze.

Wsadził do wanny jednego, potem drugiego chłopca i cofnął się pod ścianę, najwyraźniej przekazując pałeczkę Daisy.

Chcąc nie chcąc, sięgnęła po mydło i gąbkę.

- Będziesz tak stał i patrzył? Lepiej przygotowałbyś im kolację. - Obejrzała się i obrzuciła go taksującym spojrzeniem. - Chyba umiesz gotować?

- Naturalnie! - zachnął się. - Niektórzy nawet uważają mnie za eksperta w tej dziedzinie.

- Ekspert od dziecięcych posiłków! Trochę mięsa i warzyw?

Obejrzała się znowu i została nagrodzona uśmiechem.

- Podstawowa sprawa! - powiedział. - Na pewno niepotrzebna ci pomoc przy wyciąganiu ich z wanny, wycieraniu i ubieraniu? Mnie to wygląda na robotę dla dwóch krzepkich mężczyzn.

Daisy odwzajemniła uśmiech.

- Jakoś sobie poradzę.

Julian zachichotał i wyszedł.

Kiedy wprowadziła za rączki do kuchni słodko pachnących, przebranych w piżamki bliźniaków, na stole czekała już tam na nich herbata.

- Może jednak nie będzie aż tak źle - powiedział Julian, uznając, że jeden dzień mają już z głowy.

- Nie leżą jeszcze w łózkach - zauważyła Daisy. - I przypomnij sobie, jak się czuliśmy w porze lunchu! Nam może uda się przebrnąć przez ten weekend, ale twoja matka będzie z nimi przez cały tydzień i bez pomocy sobie nie poradzi. W poniedziałek zaczynam pracę na niepełny etat, ale popołudniami mogę tu wpadać i pomagać jej ich wykapać. Gabi też pracuje tylko na pół etatu i na pewno zgodzi się pomóc. Jest w ciąży i przyda jej się trochę praktyki. Alana i Kirsten też chyba nie odmówią. Poznasz je pewnie wieczorem, a gdyby nie wpadły dzisiaj do Mickeya, to porozmawiam z nimi jutro albo w niedzielę. W niedzielne poranki spotykam je często na śniadaniu w kafejce niedaleko stąd.

- A w piątkowe wieczory u Mickeya? Nie masz dopyć tej wspólnoty? Nie wychodzi ci czasem bokiem?

Daisy zdumiały te pytania. Pasowały bardziej do odлюдka niż człowieka towarzyskiego, na jakiego wyglądał z tym uśmiechem. Tylko czy towarzyski człowiek nosiłby się z myślą zawarcia kontraktowego małżeństwa?

Czyżby ten uśmiech był tylko na pokaz - czy to maska, pod którą Julian skrywa przed ludźmi swoją genialność?

A jeśli tak, to czym to wytłumaczyć?

- Wielu z nas mieszka w tym budynku od lat. Ja sprowadziłam się tu najpóźniej z grupy, ale dwa lata wy starczą, żeby zaprzyjaźnić się z sąsiadami, zwłaszcza że wszyscy pracują albo pracowali kiedyś w szpitalu Royal Westside. Też będziesz tam pracował?

Pokręcił głową.

- Nie, ale będę się opiekował noworodkami. Znajomy, z którym kiedyś pracowałem, jest teraz w Royal Westside położnikiem i zaproponował, że mnie poleci. Będę też odwiedzał w Royal Westside tych swoich pacjentów, którzy tam trafiają, i to wszystko. Przetęrałem w szpitalach kilka ostatnich lat, teraz przejmuję prywatną praktykę pediatryczną od doktora Clementa. Znasz go?

Schylił się po łyżeczkę, którą Ewan rzucił na podłogę, nie zauważył więc, że zaskoczonej Daisy twarz stężała.

- Doktor Clement? Przejmujesz po nim praktykę? W poniedziałek?

Chociaż wcześniej nie zauważył zaskoczenia na jej twarzy, to teraz wychwycił je w głosie i spojrzał na nią spod ściągniętych brwi.

- A co? Coś nie tak z tą praktyką? Przeglądałem księgi, wgłębiałem się w szczegóły...

- Nie, nie! - Daisy przełknęła z trudem. - Doktor Clement jest w porządku, a praktyka kwitnie. Tylko że...

Głos uwiązał jej w krtani. Patrzyła oniemiała na mężczyznę, którego poznała przed zaledwie kilkoma godzinami, i który - coś nieprawdopodobnego - niedługo będzie jej szefem.

- Tylko że...

Potrząsnęła głową, by otrząsnąć się z szoku, ale zanim zdążyła dokończyć, Shaun przewrócił kubek z mlekiem. Julian rzucił się do wycierania stołu i podłogi, ona porwała chłopca na ręce i pobiegła do sypialni bliźniaków, żeby go przebrać w suchą piżamkę.

- Wrzucę ich brudne ubranka do pralki - powiedziała, wróciwszy z Shaunem do kuchni.

Kiwnął głową i myślała, że jest już bezpieczna, on jednak nie zapomniał. Kiedy weszła do sąsiadującej z kuchnią alkowy, gdzie stały pralka i suszarka, podjął wątek przerwanej rozmowy.

- Co z tym doktorem elementem?

Doszła już do siebie na tyle, że zdołała się uśmiechnąć.

- Nie dajesz za wygraną - powiedziała. - Ja też zaczynam tam w poniedziałek pracę.

- Ty?

- Po co ten ton niedowierzania - burknęła, odczytując metki na ubrankach, żeby się upewnić, czy wszystkie nadają się do prania maszynowego. - Parę lat temu pracowałam u doktora Clementa, nawet dosyć długo. Sprawowałam opiekę nad niektórymi z jego pacjentów. Leczy mnóstwo niepełnosprawnych dzieci, a ja udzielałam na miejscu porad psychologicznych ich rodzicom. Nigdzie mi się tak dobrze nie pracowało jak tam.

- To dlaczego odeszłaś?

Zauważył, że oczy jej ciemnieją, zmieniając barwę ze srebrnej na szarą, a pełne zmysłowe usta zaciskają się w wąską, niemal niewidoczną linię.

Ale nie uciekła wzrokiem.

- Chyba żeby podbijać inne światy - powiedziała.

- A dlaczego teraz wracasz? - nie ustępował. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tej kobiecie, która jakby spadła mu z nieba, kobiecie, która chciała mieć dziecko, która już je sobie zaplanowała. Mniejsza z jej niemądrymi poglądami na samotne macierzyństwo, szybko jej to wyperswaduje.

Przeszedł go dreszcz podniecenia na samą myśl o robieniu dzieci z Daisy Rutherford.

Chmurne szare oczy przyglądały mu się podejrzliwie.

- Chyba z tego samego powodu. Żeby przeżyć nową przygodę. Zresztą to tylko zastępstwo. Będę zastępowała kobietę, która idzie na półroczny urlop macierzyński. Potem dziecko...

- Czy tak samo postrzegasz macierzyństwo? Jako przygodę?

Chmura się rozwiała, rozegnana uśmiechem tak naturalnym, spontanicznym i wesołym, że w kuchni zrobiło się jakby jaśniej.

- A czy to nie przygoda? - zapytała. - Co dnia nowe odkrycia, nowe zachwyty...

- Wybierz się tylko z bliźniakami na spacer do parku - ostrzegł ją - a zobaczysz, jak cię zachwycą.

-Ha! - wykrzyknęła z takim zapałem, że musiał się uśmiechnąć. - Bez trudności nie byłoby przygody. Właśnie ich przewyciężanie przynosi największą satysfakcję.

Wskazała ruchem głowy na dzieci, które aktualnie opryskiwały się nawzajem jogurtem. -I jeśli chcesz wieść, to bywałam już z tymi młodzieńcami i z Ingrid w parku, a raz zostałam nawet z nimi sama, bo Ingrid pobiegła załatwić jakąś tajemniczą sprawę. - Uśmiechnęła się z przekazem. - Niewykluczone, żeby zabukować sobie bilet na samolot do Japonii.

Julian pokiwał tylko głową.

- No, na nich już chyba pora. - Daisy wzięła na ręce Shauna.

- Masz podejście do dzieci - zauważył Julian



i uśmiechając się błogo, wyobraził ją sobie w roli żony, matki swojego dziecka, a do tego partnerki w interesach. Podniósł z krzeselka Ewana i ruszył za Daisy do sypialni bliźniaków.

- Dzisiaj żadnego czytania chórem bajek - oznajmiła Daisy, kiedy chłopcy leżeli już w łóżkach. - Lecę teraz do siebie przebrać się do kolacji. Wrócę przed ósmą, żeby cię przedstawić Jasonowi.

I żeby przedstawić go Alanie i Rory'emu, jak się okazało.

- O, widzę, że skaptowałaś już sobie do pomocy Daisy - powiedziała do Juliana Alana. - Wpadliśmy z Rorym zaprosić cię na kolację. Chyba nie przeszkadzamy?

Alana, świeżo zaręczona i promieniejąca szczęściem, paplała jak najęta, wyjaśniając, że postanowili wyciągnąć go do Mickeya przez wzgląd na Jasona.

- Na wypadek, gdybyś się okazał psychopatycznym mordercą i zaatakował go siekierą - dodał z kamienną twarzą Rory.

Alana trąciła go łokciem.

- Właśnie! - podchwyciła. - A Madeleine nie lubi widoku krwi.

Jason, kilkunastoletni siostrzeniec Rory'ego, przysłuchiwał się temu z boku z uśmiechem satysfakcji. To on spiknął wujka z Alaną i był z tego teraz bardzo dumny.

Julian spytał go, czy ma numer telefonu do Mickeya, i kazał mu tam dzwonić w razie czego.

- Spokojna głowa, dam sobie radę - powiedział Jason - ale jeśli pan mi nie ufa, to się nie obrażę, jak wpadnie pan tu na kontrol. Pani Madeleine często tak

robi. Panu Grahamowi mówi pewnie, że idzie do kibelka. A on się potem zastanawia, co ona tam tak długo siedzi.

I uśmiechnął się do Juliana, a potem przeniósł ten uśmiech na Daisy.

- W porządku pani wygląda - zauważył. - Rzadko widuję panią ubraną. - Zaczerwienił się po czubki uszu i czym prędzej uściślił: - Znaczy się w wyjściowe ciuszki, wie pani, o co mi biega.

- Oczywiście, Jasonie, i dzięki za komplement. Jason dał jej lekkiego kuksańca w ramię i zniknął w salonie.

- Frostowie mają kablówkę- wyjaśnił Rory - i chłopak nie może się doczekać piątku, kiedy będzie mógł tu wpaść i poskakać po kanałach. To dla niego hit tygodnia.

Alana zaśmiała się.

- Nie - rzekła przyciszonym głosem. - Dla niego prawdziwym hitem tygodnia jest Ingrid wracająca wcześniej z wschodniego.

Chyba nie zwróciła uwagi na ciszę, jaka zapadła, bo rzuciła ochoczo:

- To co, gotowi? Idziesz z nami, Daisy?

Daisy uśmiechnęła się.

- A spróbuj mi zabronić! Mam dzisiaj w planie przeprowadzenie naboru. A Jason się rozczaruje, jeśli liczy, że zobaczy Ingrid.

Krzyknęli do Jasona, że wychodzą, i wysypali się z mieszkania.

- Kiedykolwiek - dokończyła już w windzie Daisy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zainteresowała

się Alana, ale jej pytanie trafiło w próżnię, bo w tym momencie winda się zatrzymała i dosiedli się do nich Kirsten ze swoim narzeczonym, Joshem Phillipsem.

Kiedy jednak, przeciąwszy foyer, wchodzili do Mickeya, Kirsten obejrzała się na Daisy i spytała:

- Ingrid naprawdę odchodzi? Wiesz coś na ten temat? Daisy, choć nie powinno jej już dziwić, że Kirsten wie o wszystkim, co dzieje się w budynku, na chwilę zamurowało. - Widziałas się z Gabi? Ona ci powiedziała? Kirsten pokręciła głową.

Ingrid mi mówiła, parę dni przed wyjazdem Frostów, i biłam się z myślami, czy powiedzieć o tym Madeleine, ale doszłam do wniosku, że jak jej powiem, to zrezygnuje z wyjazdu i Graham już zupełnie się rozłoży. Zresztą wiedziałam, że będzie tutaj brat Madeleine, a kto jak kto, ale pediatra potrafi się zająć bliźniakami.

- A Joshowi powierzyłabyś opiekę nad dziećmi? - spytała Daisy. - On też jest pediatrą.

Kirsten zrzędlą mina.

- A wiesz, że chyba nie - mruknęła niepewnie. - Może i zna się na dzieciach jako pacjentach, ale w praktyce właściwie nie ma z nimi do czynienia. Nie licząc przychówku brata, ale trudno toto nazwać dziećmi. Dla mnie to doskonale klony starszego Phillipa, tyle tylko, że jeszcze niewyrośnięte. Na samą myśl, że urodzę takie same albo że się po mnie tego oczekuje, dostaję gęsiej skórki. Nie wiem, co gorsze.

Daisy zachichotała, ale ponieważ reszta towarzystwa weszła już do Mickeya, nie odpowiedziała. Poklepała tylko Kirsten po ramieniu i przepuściła ją przodem

przez drzwi, które Julian przytrzymał otwarte dla dwóch maruderek.

Daleko nie uszły. Zaraz za progiem, kiedy Julian zostawił je i pobiegł za Alaną, Rorym i Joshem, Kirsten zatrzymała się.

- To co teraz będzie? Julian kogoś tam ściągnie, jakąś awaryjną niańkę?

- A o czym wy tu szepczecie? - spytała wracająca po nie Alana. - O tym naborze, o którym wspominałaś?

Daisy, przezornie pomijając pretekst, jaki znalazła sobie Ingrid, oraz nie wspominając słówkiem o żadnych dzieciach z wyjątkiem bliźniaków, opisała sytuację.

- Rozumiem, dlaczego Julian wstrzymuje się z powiadomieniem Madeleine, ale ich matce stanowczo będzie potrzebna pomoc - orzekła Alana. - Ta parka to diabły wcielone.

- Otóż to - przyznała Daisy z może trochę zbyt szczerym przekonaniem. - Ale ja pracuję teraz tylko na pół etatu, a więc będę tam mogła wpadać popołudniami.

- Za piękne, żeby było prawdziwe - stwierdziła Kirsten. - Ale jak ty w to wdepnęłaś? Znałaś wcześniej tego przystojniaczka Juliana? i

- Przystojniaczka? - powtórzyła za nią Daisy. - Uważasz go za przystojnego?

Kirsten roześmiała się i pokręciła głową.

- Tylko mi nie mów, że jesteś innego zdania - powiedziała i poważniejąc, dodała: - Jeśli mam być szczerą, to martwię się o ciebie. Przyjrzyj się dobrze temu facetowi i powiedz mi, co widzisz.

Obróciła Daisy twarzą do barku, przy którym gawędzili swobodnie trzej mężczyźni.

- Wysoki - zaczęła Daisy - i dobrze zbudowany. To od razu rzuciło mi się w oczy. I ma miły uśmiech, którego w tej chwili nie widzę.

Kirsten przewróciła oczami.

- Ja się poddam - oznajmiła, zwracając się do Alany.  
- Spędza cały dzień z mężczyzną, który aparycją bije na głowę naszych nie-takich-znowu-od-macochy absztyfikantów, i zauważa tylko, że jest duży i ma miły uśmiech.

- I piękne oczy - dodała ponieważ Daisy, żeby choć trochę zatrzeć u przyjaciółek wrażenie, że coś u niej nie tak ze spostrzegawczością.

- Daj spokój! - mknęła na Kirsten Alana i otaczając Daisy ramieniem, pociągnęła ją za sobą. - Przecież wiemy nie od dzisiaj, że Daisy żyje w świecie równoległym. Widzi o wiele więcej od nas, przez co umykają jej czasem drobiazgi, które nam wydają się oczywiste.

CMoknęła Daisy w policzek.

- Ale my i tak cię kochamy - zapewniła ją i uściśnęła mocno.

Był to uroczy wieczór, tak uroczy, że Daisy zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna bardziej zaangażować się w życie towarzyskie.

- Co byście powiedzieli na drinka do poduszki w penthousie? - zasugerował Julian, i chociaż wszyscy, a zwłaszcza mężczyźni, którzy byli bardzo ciekawi nowej chłodziarki na wino Grahama, będącej tego wieczoru głównym tematem konwersacji, powitali tę

propozycję aplauzem, to Daisy się wyłamała.

- Jeśli mam ci jutro pomagać przy bliźniakach, to muszę się dziś wcześniej położyć.

Naprawdę była zmęczona, ale zabrzmiało to trochę jak wymówka i ze spojrzenia, które posłał jej Julian, wyczytała, że tak to właśnie odebrał.

Nazajutrz o ósmej rano ktoś zapukał nieśmiało do drzwi. Otworzyła.

Na korytarzu stał Julian. Był jakiś zmieszany.

-O, już nie śpisz! - zauważył, przestępując niepewnie z nogi na nogę. - Byłem w kropce. Nie chciałem cię budzić, a jednocześnie chciałem ci powiedzieć, że jeśli chcesz, to możesz dalej spać, ale nie wiedziałem, jak to zrobić, bo gdybyś jeszcze spała, to bym cię obudził pukaniem. Ta Gabi to anioł. Przyszła do mnie wczoraj, kiedy towarzystwo już się wyniosło, i powiedziała, że dzisiaj zabierają z Alekssem bliźniaków na cały dzień na plażę. Obudziłem chłopców rano, nakarmiłem i właśnie pojechali. Wzięli samochód Madeleine, bo tam są zamontowane foteliki.

Zawiesił głos i znowu przestąpił z nogi na nogę.

- Może wejdziesz? - zaproponowała Daisy. - Robię właśnie naleśniki dla bliźniaków, ale skoro wyjechali, to sami możemy je zjeść, chyba że jesteś już po śniadaniu.

Julian przestąpił z wahaniem próg.

Wczoraj, w jaskrawym różu; Daisy wyglądała egzotycznie. Dzisiaj miała na sobie koszulę równie obszerną i prześwitującą, ale koloru purpury, i wyglądała w niej

jak egzotyczny kwiat, zwłaszcza że ładnie i ze smakiem urządzonej salonik był przytulny, lecz stanowczo nie egzotyczny.

Usiadł, kiedy mu to zaproponowała, ale kiedy wyszła do kuchni, pewnie kończyć te naleśniki, poczuł się głupio. Ponad ladą oddzielającą salonik od kuchni widział tylko głowę i ramiona Daisy.

- Nie musisz siedzieć! - zawołała, zupełnie jakby czytała w jego myślach.

Wstał więc, podszedł do lady i oparł się o nią łokciami. Daisy lała właśnie rozrobione ciasto na płytę patelnię, kręcąc nią wprawnie, by je dobrze rozprowadzić.

-To fantastycznie, że Gabi zabrała bliźniaków, bo dzięki temu będziemy się mogli lepiej poznać.

Ledwie zauważalnym ruchem nadgarstka przewróciła naleśnik na patelnię i marszcząc brwi, obejrzała się na niego.

- Fantastycznie?

- Tak. Nie widzisz, jak wszystko się układa? Najpierw się poznajemy, potem dowiaduję się, że będziemy razem pracowali... - Urwał, a po chwili spytał: - A ta druga psycholog, którą masz zastępować, na pewno chce wrócić do pracy po urlopie macierzyńskim, czy tylko tak mówi?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podjął:

- Pytam, bo właśnie sobie pomyślałem, że mogłabyś zostać na tej posiadzie na stałe. Dobrze by było dla ciebie, dla mnie i dla dziecka. Bylibyśmy partnerami zarówno w pracy, jak i w małżeństwie.

Patrzył na nią wyczekująco, ale przekładała właśnie na kupkę szósty naleśnik i nie odpowiedziała od razu.

- Starczy chyba tych naleśników - zauważył. - Więcej nie zjemy.

- Muszę wykończyć ciasto. To będzie ostatni - obiecała.

Odczekał, aż odstawi patelnię, podszedł, zgasił gaz, wziął ją za ramiona i odciągnął od kuchenki.

- Znajdź coś do posmarowania tych naleśników, a ja wezmę sztućce i talerze. Nie potrafię rozmawiać o interesach z kobietą, która zongluje naleśnikami. Rozprasza mnie to. I nie mam pewności, czy mnie słuchasz.

- Słucham - powiedziała, stawiając na łądzie miód i syrop klonowy. - Ale tłumaczyłam ci, że nie chcę mieć męża, nie mówiąc już o partnerze w interesach. Nie muszę też...

- Mieć dziecka - wpadł jej w słowo. - Ale mówisz tak tylko dlatego, że nie pomyślałaś o innych możliwościach. Nie bierzesz pod uwagę innych opcji, prawdopodobnie dlatego, że nie widzisz mężczyzny, który spełniałby twoje wymagania. To idealna sytuacja, nie rozumiesz? Jako partnerzy w interesach i w małżeństwie możemy ustalać własne reguły gry. Będziesz mogła wziąć dowolnie długi urlop macierzyński, a gdybyś chciała nadal pracować, to możesz zabierać dziecko do pracy. Zorganizujemy mu tam jakąś opiekę...

- Partnerzy tak w interesach, jak i w małżeństwie? Julianie, zejdź na ziemię. Znasz mnie niecałe dwadzieścia cztery godziny i już mi się oświadczasz?

- A czemu nie? Zgoda, musimy to jeszcze dokładnie omówić. Ale pomyśl tylko, Daisy. Ty chcesz mieć dziecko, ja chcę mieć dziecko, będziemy razem pracowali...



Nałożył widelcem dwa naleśniki na talerzyk i podsunął go jej.

- Wiem, popędzam cię - podjął - ale tyle czasu upływa od poczęcia do narodzin dziecka, a potem jeszcze więcej, zanim stanie się użyteczne dla ojca pediatry, że muszę wprowadzić w życie ten projekt najszybciej jak to możliwe.

Daisy wpatrywała się w swoje naleśniki i nie mogła uwierzyć własnym uszom. A Julian ciągnął dalej w najlepsze, zupełnie jakby rozmawiali o pogodzie.

- Powiedz mi, dlaczego uparłeś się zostać samotną matką.

Daisy wzruszyła ramionami.

- Moi rodzice wciąż się kłócili. Rozstali się, kiedy miałam sześć lat, i od tamtego czasu matka zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. Nie chcę podzielić jej losu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- A więc trafił ci się dzisiaj wolny dzień - zmieniła temat Daisy. - Co planujesz z nim zrobić?

- Co planujemy - skorygował. - Chyba nie zostawisz obcego w tym mieście na pastwę losu?

Nie ze mną te numery, pomyślała, a potem przypomniała sobie, że to brat Madeleine.

Przecież nie jesteś tu obcy. Wychowywałeś się w Westside, dobrze mówię?

Chodziłem tu do podstawówki, potem rodzice posłali mnie do szkoły z internatem na południe stąd, w Sidney. Byłem nieprzeciętnie zdolny i doszli do wniosku, że tak będzie dla mnie najlepiej. Ta szkoła miała przyspieszony program nauczania. Potem, naturalną kolejną rzeczą, tamtejszy uniwersytet, a w końcu medycyna. Od ukończenia dziesiątego roku życia rzadko tu bywałem. Przyjeżdżałem tylko na święta, a i to jedynie do czasu, kiedy mama z tatą postanowili przenieść się dalej na północ.

Daisy serce się ścisnęło, kiedy wyobraziła sobie zdolnego dziesięciolatka wysyłanego do szkoły z internatem. Podobnie jak ona, choć z innego powodu, pozabawiony został w dzieciństwie normalnego życia rodzinnego.

- Chyba dałoby się coś zorganizować - przystała.

- Ale jestem w stroju roboczym, „do zabawy z bliźniakami”. Jeśli mamy iść w miasto, muszę się przebrać. Spotkajmy się może za pół godziny w foyer. Poderwał w górę ręce i udał wstrząśniętego.

- Nie do wiary! Kobieta, która potrafi się w pół godziny wyszykować? - I zanim zdążyła stanąć w obronie przedstawicielek swojej płci, obrzucił krytycznym spojrzeniem własne ubranie. - A co ze mną? Mogę tak iść, czy wybieramy się w jakieś specjalne miejsce?

Przyjrzała się mu. Był dzisiaj w szortach i na widok jego umięśnionych nóg przemknęło jej przez myśl, że z genami u niego wszystko w porządku, przynajmniej z tymi, które odpowiadają za budowę fizyczną.

- Chciałabym zajrzeć do szpitala Royal Westside. Leży tam jedna dziewczynka, pacjentka Josha po przeszczepie szpiku kostnego. Jej rodzice mieszkają daleko stąd na Terytorium Północnym i chociaż bardzo by chcieli, nie mogą przyjeżdżać do córki częściej niż co dwa tygodnie. W pozostałe weekendy, żeby małej nie było przykro, odwiedzają ją wolontariusze.

- Bardzo chętnie się tam z tobą wybiorę. Przy okazji obejrzę sobie szpital. Ale zmienię jednak te szorty na spodnie. My, lekarze, powinniśmy dbać o swój wizerunek, prawda?

- Może nie tyle ubiorem, co sukcesami w pracy zawodowej - zauważyła Daisy, dziwiąc się samej sobie, że mówi tak spokojnie, kiedy wyobraźnia podsuwa jej wizję Juliana Austina ściąającego szorty.

I obnażającego więcej niż muskularne nogi.

-Wiem, że nie ma to żadnego uzasadnienia, bo nie

szata zdobi człowieka - ciągnęła, odpędzając od siebie zdrożne myśli - ale jednak pacjenci chyba rzeczywiście mają większe zaufanie do lekarza, który jest schludnie ubrany i zadbany. A więc i ja zmienię szorty na spódniczkę.

I była to bardzo ładna spódniczka, tak orzekł w duchu Julian, kiedy jakiś czas potem spotkali się na dole. W sam raz - na tyle krótka, by pokazać kształtne kolana i na tyle długa, że nie podjedzie w górę i nie odsłoni majtek, kiedy Daisy będzie się pochylała nad chorym dzieckiem. Praktyczna! Ale zdradzająca zamiłowanie właścicielki do jaskrawych kolorów - biała, upstrzona różowymi, niebieskimi i fioletowymi kwiatkami. Za to upchnięta w nią bluzka była jednolicie niebieska i sprawiała, że oczy Daisy wyglądały teraz na bardziej zielone niż szare.

- Czyli najpierw, do szpitala? - zapytał, uświadamiając sobie, że jego oględziny trwają trochę za długo.

- Chyba tak. Potem lunch na statku. Z rzeki najlepiej widać miasto. Zarezerwowałam już bilety.

- Wspaniale, ale ja płacę. - Wziął ją pod rękę i wyszli w słoneczny jesienny dzień.

Szpital nie był mu zupełnie obcy. Odbywał tu kiedyś miesięczną praktykę studencką. Ale nowo powstały zakład transplantologii na oddziale pediatrycznym zachwycił nawet takiego jak on, bywałego w świecie specjalistę.

- To przede wszystkim zasługa Kirsten - wyjaśniła Daisy, dumna z przyjaciółki jak matka z wybitnie uzdolnionego dziecka. - To ona wpadła na pomysł wprowadzenia tu stymulacji wizualnej, która podziałałaby na nawet najbardziej chore dzieci. Sama nadzorowała malowanie izolatek, podczas gdy kuzyn napisał

stosowny program komputerowy. Mojej przyjaciółki Belli teraz tam nie ma, ale możesz zajrzeć przez szybę. Jak wiesz, nudzące się dzieci wolniej zdrowieją, zupełnie jakby traciły wolę walki z chorobą. To rozwiązanie pozwala im się czymś zająć i zdecydowanie poprawia skuteczność leczenia.

Julian zajrzał do środka. Mały chłopiec z pomocą jakiejś kobiety, zapewne matki, wodząc palcami po pulpicie dotykowym, manipulował obrazami wyświetlanymi na ścianie.

- Nie do wiary! - mruknął z zachwytem.

- A oto i Bella - powiedziała Daisy, wprowadzając go do częściowo zasłoniętej kotarą alkowy.

Bella uśmiechnęła się i pomachała do nich. Daisy podbiegła i wyciągnęła z torebki nową partię zwierząt hodowlanych.

- Nigdy nie zdołam zgromadzić tylu sztuk bydła, ile masz w domu - powiedziała, ściskając dziewczynkę - ale tym razem udało mi się zdobyć krowki, które hoduje twój tato. Brahmany.

Położyła na łóżku plastikowy woreczek ze zwierzętami, wzięła nożyczki i odcięła górę. Bella wysypała małe krowy na kołdrę, podniosła wzrok na Daisy i uśmiechnęła się.

-I przyprowadziłam ci jeszcze nowego gościa - podjęła Daisy, wskazując na swego towarzysza. - Ma na imię Julian i jest lekarzem, jak doktor Josh, tylko nie pracuje w tym szpitalu.

Julian podał Belli rękę i ta uściśniła ją z powagą.

-Pokażmy Julianowi, jaką farmę założyliśmy - za proponowała Daisy i wyciągnęła spod łóżka duży arkusz sklejki, na którym znajdowała się makiet farmy, z której pochodziła dziewczynka.

Bella podciągnęła pod siebie nóżki, żeby zrobić na łóżku miejsce na makietę, a potem wyjęła z szuflady szafki kolorową torbę z materiału. Wysypała z niej całą kolekcję zwierząt i domków. Pogrzebała w nich chwilę i znalazła to, czego szukała.

Była blada, drobna, łysa, do żyły miała podłączoną kroplówkę. Julian chętnie zerknąłby na jej kartę choroby, ale to zniszczyłoby jego status gościa. I nagle mała, ustawivszy pośrodku sklejki dom i kilka zabudowań gospodarczych, spytała:

- Pan jest doktorem od dzieci?

- Tak - odparł.

Wyglądała na jakieś pięć, sześć lat, ale mogła być starsza, bo leki spowalniają rozwój dziecka.

- A wie pan, co to jest białaczka? - spytała i Julianowi ścisnęło się serce.

- Tak, wiem. Na to chorujesz?

- Uhm - odparła wesoło Bella - i muszę jak najszybciej wyzdrowieć, żeby mama i tato przestali się martwić. Daisy nie może mi znaleźć prawdziwego psa pasterskiego, ale ten też może być. - Pokazała Julianowi miniaturkę collie. - Nazwałam go Bliss, tak się wabi nasz pies. Muszę wyzdrowieć, żeby wrócić do domu i się nim zaopiekować. Doktor Josh zrobił mi kurację, po której bardzo źle się czułam. Prawie umarłam, prawda, Daisy?

Daisy kiwnęła głową i spojrzała na Juliana.

- Miała przeszczep szpiku - wyjaśniła cicho.  
- Ale teraz czuję się już lepiej i doktor Josh mówi, że niedługo będę zdrowa... Nie, Daisy, krowy idą gdzie indziej, to jest pastwisko dla koni.

Znowu zajęła się swoją farmą, przedstawiając bydło, które Daisy umieściła nieopatrznie na miejscu przeznaczonym dla koni.

- Daisy zrobiła mi tę makietę - powiedziała do Juliana, uporawszy się ze swym zadaniem. - Jest bardzo miła, prawda?

- Na to wygląda - przyznał Julian.

- A nie ma męża - ciągnęła Bella. - A ty masz żonę?

- Jeszcze nie - odparł. - Ale może niedługo ożenię się z Daisy.

- Nie, Daisy mówi, że nigdy nie wyjdzie za mąż - poinformowała go Bella. - Wiem, bo ją spytałam, czy weźmie mnie na swoją druhnę, a ona powiedziała, że nie zamierza wychodzić za mąż. Nigdy.

- Może jeszcze zmieni zdanie - rzekł poważnie Julian, chociaż śmiać mu się chciało, bo widział, jak Daisy rumieni się i unika jego wzroku.

- Nie, ona mówi, że zamiast męża woli mieć dziecko.

- Wiesz bardzo dużo bardzo interesujących rzeczy - stwierdził Julian i tym razem się uśmiechnął.

- Dziewczynka też się uśmiechnęła, ale widać było, że rozmowa ją zmęczyła. Daisy zaproponowała, żeby sprzątnąć zwierzątka i przeczytać bajkę.

- Czy jak zasnę, to przyjdziecie do mnie później? - spytała Bella, a Daisy obiecała, że się postara.

Tylko że pomagam Julianowi opiekować się bliź-

niakami jego siostry i nie wiem, czy dam radę. Ale Jason i Alana przyjdą na pewno.

Usatysfakcjonowana Bella zamknęła oczy i słuchała bajki.

Wkrótce potem Julian i Daisy wyszli od śpiącego dziecka.

- Ma szansę na wyzdrowienie?

Daisy potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Może. Przeczucie mi mówi, że tak. Ale sam wiesz, że nigdy nie ma stuprocentowej pewności, czy nie nastąpi nawrót.

- No nie, przestań. Słuchając ciebie, można nabrać przekonania, że to sytuacja bez wyjścia i można liczyć tylko na szczęśliwy traf. Zaczynij myśleć pozytywnie.

Daisy spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Jesteś tak cholernie miły, że musi się za tym kryć jakiś horror. Albo jesteś alkoholikiem, albo hazardzistą, albo narkomanem. Nie, to nie to, za zdrowo wyglądasz. A może...

-Może co?

Wzruszyła ramionami.

-Nie przychodzi mi do głowy żaden straszny nałóg ani zboczenie... O właśnie, zboczenie. Nie lubisz czasem być zakuwany w kajdany, bity, albo nie wydaje ci się, że twoja partnerka w tym się lubuje? Czytałam kiedyś...

Parsknął śmiechem i przystanął.

- O co chodzi? - zapytała.

- Naprawdę wyglądam na takiego, który lubi pobrzękiwać łańcuchami albo być ćwiczony pejcem?

Przyglądała mu się przez chwilę, potem oświadczyła:



- Nie ma się z czego śmiać. Nigdy nic nie wiadomo. Czytałam o kobiecie, która była przekonana, że jej mąż jest idealnie normalnym mężczyzną, i tak by pozostało, gdyby on pewnego razu nie dostał zawału w klubie szachowym, do którego chodził co środę. Kiedy poszła tam

po jego rzeczy, okazało się, że to żaden klub szachowy, tylko agencja towarzyska dla gejów.

Julian wciąż chichotał, ale byli już w holu i nie wypadło ciągnąć tematu w obecności czekających tam pacjentów.

Wyszli ze szpitala i Daisy zaproponowała spacer nadrzeczny parkiem do przystani, z której odchodziły statki wycieczkowe.

Obszedłszy naokoło mały pokład stateczku, żeby spalić trochę kalorii po obfitym lunchu, oparli się o reling.

- Jesteś bardzo spokojny - zauważyła Daisy. - Czy ty się w ogóle kiedykolwiek denerwujesz? Podnosisz głos? Wszczynasz awantury?

Julian zachichotał.

- A chciałybyś? - spytał.

Pokręciła głową.

- Nie, ale to dziwne. Praktycznie się nie znamy, a tak nam się dobrze rozmawia. Przynajmniej ja odnoszę takie wrażenie. Nie ma chwil niezręcznego milczenia, gorączkowego szukania jakiegoś tematu. Żadnych ugrzecznionych pytań o pracę czy podróże. Po prostu gawędzimy.

- I gawędzimy - podchwycił z uśmiechem tak ciepłym, że zrobiło się jej jakoś lekko na duszy. - No to jak będzie? - spytał.

- Ze spędzeniem reszty dnia? Umówiłeś się z Gabi na jakąś konkretną godzinę? Nie możemy się spóźnić, będzie zmęczona. Za dziesięć minut statek przybija do brzegu. Możemy zejść na ląd i wrócić do domu taksówką. Zobaczyłbyś miasto z jeszcze jednego punktu.

- Nie o to mi chodziło. Spojrzała na niego uważnie.

- A o co?

- O naszą przyszłość.

- O naszą przyszłość? Daj spokój! Myślałam, że już to sobie wyjaśniliśmy. Owszem, oboje chcemy dziecka, ale każde z nas z innego powodu.

- Tylko dlatego, że nie rozważyłaś alternatywy - przypomniał jej znowu z uśmiechem. - Co byś zrobiła, gdybyś nie poznała mnie?

- Ale poznałam, tyle że niewiele ponad dwadzieścia cztery godziny temu, a ty już dziś domagasz się odpowiedzi?

Panika, niedowierzanie, niepewność - wszystko to razem wzięte ścisnęło jej struny głosowe i ostatnie słowa wypowiedziała niemal piskiem.

- Niekoniecznie musi to być dzisiaj, ale mogłabyś chociaż dać mi nadzieję. Może łatwiej ci będzie podjąć decyzję, jeśli ci się jakoś zarekomenduję? Mam w zanadrzu taką rekomendację. Nawet na piśmie, skreśloną ręką mojej matki, która bardzo się obawiała, że żadna mnie nigdy nie zechce.

Zdumiona Daisy zamrugwała, ale Julian mówił dalej, jakby to, co zrobiła jego matka, było najzwyczajniejszą rzeczą pod słońcem.

- Stoi tam czarno na białym, że jestem domatorem, mam miłe usposobienie, jestem opiekuńczy, potrafię słać łóżka, gotować, a nawet rozwieszać pranie. - Urwał, a potem dodał z całą powagą: - Z tego ostatniego mama jest bardzo dumna.

- I ma rację - orzekła Daisy, całą siłą woli powstrzymując się od parsknięcia śmiechem. - To rzeczywiście wielka sztuka i plus, który na pewno wezmę pod rozwagę.

- O żadnych nałogach nie wspomniała, a jest kobietą uczciwą i zrobiłaby to, gdybym jakieś miał.

- Nie wątpię - przyznała Daisy, chociaż wątpiła, czy matka wiedziałaby o jego nałogach. - Kiedy to napisała? Tak się martwi, że nie założyłeś jeszcze rodziny? Ile ty masz lat? Trzydzieści trzy? Trzydzieści cztery?

Spojrzał na nią urażony.

- Trzydzieści jeden! - burknął. - Wszyscy Austynowie wcześniej siwieją, chociaż ja nie mam nawet w przybliżeniu tylu siwych włosów co Madeleine, tylko gorszego fryzjera.

- Nie przesadzaj z tą siwizną - powiedziała. - Zresztą dobrze ci z nią.

I chociaż spojrzał na nią z niedowierzaniem, nie dała się zbić z pantafyku.

- No dobrze, trzydzieści jeden - powtórzyła. - Czyli nie taki już młodzieniaszek. A co było do tej pory? Chyba nie żyłeś w celibacie?

- A jak myślisz? - spytał z uśmiechem.

- Odpowiedz. Jak z tym było? Nie uwierzę, że tak długo obywałeś się bez kobiet. Dlaczego żadna nie urodziła ci dziecka?

Westchnął i zapatrzył się w brunatne wody rzeki.

- Kilka nie miałoby nic przeciwko temu, gdybym tylko poprosił, ale nie prosiłem, bo wiedziałem, że chcą czegoś więcej, niż miałem im do zaoferowania. Wiedziałem, że chcą miłości, a to było nierealne. No, przynajmniej z mojej strony. Chociaż z jedną już całkiem dobrze mi się układało. Doszło nawet do tego, że wydawało mi się, że coś między nami jest. Aż tu pewnego dnia budzę się obok Gillian i uświadamiam sobie, że jej nie kocham.

Spojrzał Daisy głęboko w oczy.

- Dosłownie zmroziło mnie, kiedy to sobie uświadomiłem - podjął cicho. - Zupełnie jakby ktoś wylał na mnie kubek zimnej wody. Gdybym to ciągnął, i Gillian myślała, że ją kocham - a ja udawałbym miłość do niej - to unieszczęśliwiłbym wspaniałą kobietę, która zasługiwała na związek z prawdziwego zdarzenia.

Urwał, a potem dorzucił - uznając widocznie, że trzeba to uściślić;

- No wiesz, taki z romantyczną miłością. Ze splecionymi sercami w girlandach kwiatków. Tego rodzaju miłością.

Drzemiąca w Daisy psycholog ściągnęła brwi.

- Skąd byłeś taki pewien, że to, co do niej czujesz, nie rozwinie się w ten rodzaj miłości?

Wzruszył ramionami.

- Przyznam, że nie wiem, ale byłem. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - I jeśli się dobrze zastanowić, nie było na to chyba szans, prawda? Nie wierzę w romantyczną miłość. A Gillian wierzyła. Zresztą nawet kiedy się w nią wierzy, to trzeba też zdawać sobie sprawę, że ona z czasem blaknie, i trzeba się bardzo

starać, żeby w małżeństwie wszystko grało. Przyjaźń, uczucie, wzajemne zrozumienie.

- Chyba masz rację - przyznała Daisy. - Ale w młodości miewałeś chyba momenty, kiedy wydawało ci się, że zakochujesz się „bez pamięci”. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że to może się powtórzyć?

Julian pokręcił głową, wzruszył ramionami i jeszcze raz pokręcił głową.

- To było coś innego - oznajmił tonem kogoś, kto powtarza jakąś powszechnie znaną teorię. - Dowiedziono naukowo, że za tak zwane zauroczenie odpowiedzialne są pewne chemiczne zmiany w organizmie, które w połączeniu z rozwijającą się u młodych mężczyzn świadomością seksualną prowadzą do poważnych zaburzeń równowagi emocjonalnej w wieku dojrzenia oraz we wstępnym okresie wieku męskiego. W rezultacie doświadczamy zmasowanego przypływu emocji, który dla uproszczenia nazywamy miłością. W naszej kulturze tak skomercjalizowano to zjawisko, że osobników, u których ono nie występuje, uważa się za odbiegających od normy.

Chcesz przez to powiedzieć, że wszystko, co czuleś w młodości do dziewcząt, które cię pociągały, wynikało z niezrównoważenia emocjonalnego? - spytała z niedowierzaniem Daisy.

Julian znowu pokręcił głową.

-Tylko w pewnym sensie. W młodym wieku wszystkie emocje występują z przesadnym nasileniem. Ludzie szukają dla nich ujścia i stąd wybuchy nacjonalizmu, idealizmu, troski o środowisko naturalne. Modzi ludzie podchodzą z pasją niemal do wszystkiego. Weź

młodych mężczyzn maszerujących ochoczo na wojnę.

Daisy słuchała go i chociaż dostrzegała w jego słowach pewien sens, to dla niej była to raczej teoria niż praktyka. Odstawiła na bok bezimienne młode kobiety i skoncentrowała się na Gillian, która najwyraźniej stanowiła najświeższy epizod w życiu Juliana.

- A gdyby Gillian zrozumiała, że jej nie kochasz, i za akceptowała to? Gdyby pogodziła się z faktem, że kocha cię bez wzajemności? Czy nie byłoby to coś w rodzaju małżeństwa z rozsądku, które chcesz teraz zawrzeć? Może by się wam udało?

Spojrzał na nią tak, jakby namawiała go do spaceru nago główną ulicą.

- Ależ skąd! To stawiałoby osobę kochaną pod wielką presją. Ta osoba czułaby się przez cały czas winna, że nie jest w stanie odwzajemnić miłości, którą jest obdarzana.

- A więc twardo obstajesz przy małżeństwie z rozsądku. Czy do kontraktu małżeńskiego wpiszesz punkt: „Nie żądamy od siebie miłości i nie próbujemy jej sobie dawać”?

Zaintrygowało go jej pytanie.

- Właśnie w tym cały sens małżeństwa z rozsądku - przypomniał jej. - To nie jest kontrakt na miłość. W takim związku z definicji nie wchodzi w grę żadne zaangażowanie emocjonalne, ani żadne romantyczne uniesienia.

- Powiedzmy - mruknęła bez przekonania Daisy. Statek przybił do przystani i zeszli po trapie na ląd.

- Nie widzę nigdzie taksówki - powiedział Julian, kiedy zstępowali po starych kamiennych schodkach z

małego nabrzeża.

-Niedaleko jest centrum handlowe - przypomniała sobie Daisy. - Tam na pewno coś złapiemy.

Doszli do centrum w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. W taksówce Daisy wymieniała nazwy dzielnic, przez które przejeżdżali.

- Znam je z nazw, ale nigdy tu nie bywałem, bo zawsze mieszkaliśmy po drugiej stronie rzeki - oznajmił Julian, po czym zmienił temat: - Wejdiesz do mnie na górę, kiedy dojedziemy? Wyobrażam już sobie dwóch zmęczonych, oblepionych piaskiem chłopaczków, których trzeba wykapać, a to nie jest zadanie dla jednej osoby. Może i dałbym radę sam, ale wolałbym nie próbować.

- Wstąpię do ciebie - zapewniła go Daisy. - Mimo wszystko na ochotnika zaoferowałam ci pomoc, a ten wolny dzień należy chyba potraktować jako premię.

- Pod wieloma względami - potwierdził i wziął ją za rękę. - Nie uważasz?

Serce zabiło jej żywiej nie tylko z powodu tej poufałości, ale i rodzącego się podejrzenia, że on nadal drąży swój temat dnia. Coś jej mówiło, że ten mężczyzna, śmiejąc się, gawędząc, żartując, cały czas prze wytrwale do wytyczonego sobie celu.

Którym w tej chwili jest chyba małżeństwo z rozsądku.

Z nią!

Roześmiała się. Julian spojrział na nią i pytająco uniósł brwi. A ponieważ tak dobrze jej się z nim rozmawiało, wyjaśniła bez ogródek:

-Pomyślałam sobie o dziwnych przypadkach, które rządzą naszym życiem. Czy to nie niewiarygodne zrządzenie losu, że spotkało się takich dwoje jak my? Tu i teraz, kiedy i tobie, i mnie chodzi po głowie podobny projekt...

- Zmajstrowanie sobie dziecka? - spytał i ścisnął ją za rękę.

Tu wtrącił się taksówkarz, który najwyraźniej podsłuchiwał i teraz zaniepokoiły go tory, na które zbacziała rozmowa:

-Tylko nie w mojej taksówce, jeśli łaska!

- Nie, nie - zapewnił go Julian, bynajmniej nie zbity z tropu tą uwagą. - Za starzy jesteśmy oboje, żeby barszkować na tylnym siedzeniu samochodu.

Kierowca zachichotał, ale Daisy nie wydało się to wcale zabawne.

-Ja chyba zawsze byłam na to za stara - przyznała ponuro i Julian znowu ścisnął ją za rękę.

Zatrzymali się pod domem i w tym samym momencie na podjazd wtoczył się wielki samochód Madeleine. Z tyłu spali kamiennym snem bliźniacy, siedząca z przodu Gabi też spała. Pomachał im tylko Aleks i z entuzjazmu, z jakim to zrobił, można było wnosić, że z utęsknieniem wyczekuje okazji pozbycia się swoich podopiecznych.

- Chyba należałoby pomóc wyjąć ich z samochodu - powiedziała Daisy, i Julian, który płacił właśnie za kurs, przyznał jej rację.

Gabi i Aleks dosyć się już umordowali ze zdejmowaniem nam kłopotu z głowy.

Do osobistej rozmowy wrócili dopiero po siódmej



wieczorem, kiedy zmęczone i rozmarudzone bliźniaki w końcu zasnęły. Daisy usiadła w wygodnym fotelu i oparła stopy o stolik do kawy.

- Strach pomyśleć, co by było, gdyby to były trojaczki! - westchnęła. - Albo jeszcze lepiej, czworaczki. Jak ci rodzice sobie radzą?

- Z wielką pomocą swoich przyjaciół - mruknął Julian. - Napijesz się czegoś? Może kieliszek wina?

- Nie, dziękuję - westchnęła. - Chyba zaraz padnę.

- To może jacuzzi? - zasugerował. - Sam bym się chętnie pomoczył, ale jeśli chcesz, wpuszczę cię do łazienki pierwszą.

Daisy niemal poczuła ciepłą wodę pieszczącą rozkosznie jej umęczone członki.

- Nie, to by było niesprawiedliwe. Przygotuj tu wszystko, a ja skoczę do siebie po kostium kąpielowy. Wejdziemy do wanny razem.

- W ubraniach! - zachnął się Julian, ale przezornie nie oponował.

- I ty te dwa strzępki materiału nazywasz kostiumem kąpielowym? - spytał, kiedy wróciła i zrzuciła z siebie w łazience obszerną koszulę.

Rad był teraz, że przezornie wciągnął na swoje slipy szorty, bo dzięki temu nie rzucała się tak w oczy reakcja jego ciała na widok roznegliżowanego gościa. Odwrócił się szybko, gdy Daisy wślizgiwała się do pulsującej wody, i udał, że sprawdza interkom łączący łazienkę z sypialnią bliźniaków.

Dopiero kiedy miał już pewność, że Daisy się zanu-

rzyła, ściągnął szorty i też wszedł do wielkiej wanny. Ale nadal miał kłopoty z zapanowaniem nad reakcjami własnego ciała, z ulgą i wdzięcznością powitał więc pytanie Daisy:

- Czy któryś z pediatrów wziął kiedyś pod obserwację dzieci urodzone w wodzie? Czy są dowody na to, że takie dzieci zdrowiej się chowają i są spokojniejsze?

Uśmiechnął się.

- Pytasz, bo też rozważasz ewentualność odbycia porodu w wannie?

Pokręciła głową.

- Ciarki mnie przechodzą na samą myśl o tym. A gdyby dziecko się utopiło? Wiem, że to nie jest tak, że dzieci nie toną, ale to silniejsze ode mnie." Logika nie zawsze bierze górę nad instynktami, prawda?

- To czemu pytasz?

- Bo słyszałam i czytałam, że to łatwiejsze dla dziecka, mniej traumatyczne. Zwolennicy tej metody twierdzą, że noworodek jest później spokojniejszy i lepiej się rozwija.

Julian przyglądał się jej poprzez kłęby pary. Pociągała go - co było plusem, jeśli chodzi o ich wspólną przyszłość - a przy tym intrygowała. Niewiele kobiet potrafi rozmawiać tak otwarcie o tym, co myślą i czują z dopiero co poznanymi mężczyznami.

- A gdybym ci powiedział, że są dowody na to, że dzieci urodzone w wodzie są pogodniejsze, przeżyłybyś te instynkty i zdecydowała się na urodzenie dziecka tą metodą?

Daisy zastanowiła się.

- Chyba tak - odparta - ale najpierw musiałabym zobaczyć te dowody i przeanalizować wyniki badań, na podstawie których je wysnuło.

Roześmiał się.

- Psycholog zawsze żąda faktów i liczb!

Wyprostował nogę i niechętnie musnął palcami stopy jej łydkę. Wrażenie było tak silne, że z trudem nad sobą zapanował.

- O ile wiem, nie prowadzono takich badań - podjął zdławionym głosem. - W każdym razie dowodów za ani przeciw nie ma. Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo. A jeśli już o tym mowa, orientujesz się może, jak przyszły na świat bliźniaki?

Daisy pokręciła głową.

- Nie mieszkałam tu wtedy - powiedziała. - Może Gabi wie coś na ten temat, ona pewnie myśli teraz o takich rzeczach. Ma rodzić za dwa miesiące. Porozmawiam z nią.

I jakby zadowolona ze swojego postanowienia, Daisy zanurzyła się głębiej, skrywając większą część ciała przed łakomym wzrokiem Juliana. Ale czyniąc to, z kolei ona musnęła palcami stopy jego udo.

Może było to niezamierzone, ale mimo wszystko obudziło w nim pewną nadzieję.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Było już dobrze po północy, kiedy Daisy wróciła do swojego mieszkania. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie, zapaliła światło i rozejrzała po znajomych kątach. To jest zdecydowanie jej mieszkanie, jej świat, a jednak wrażenie, że jakimś sposobem przeniosła się do „świata równoległego”, nie ustępowało.

Po pierwsze, siedząc z Julianem w wannie tak się zrelaksowała, że podniecało ją byle przypadkowe trącenie stopą czy palcem u nogi. Gdyby posiedzieli trochę dłużej, chyba by się na niego rzuciła i zażądała natychmiastowego przystąpienia do „majstrowania dzieci”.

Na szczęście Julian oznajmił, że zgłodniał i usunął z wanny swe powabne ciało, żeby zatelefonować do Mickeya i zamówić kolację dla dwojga. Ją zapytał tylko, czy ma jakieś kulinarne uprzedzenia albo preferencje, i zdecydował za nią - coś takiego spotkało Daisy po raz pierwszy w życiu.

Posiłek - filety z jagnięciny w sosie imbirowo-pomarańczowym ze słodkimi tłuczonymi ziemniakami - był przepyszny, wino - jeden ze szlachetnych cabernetów Grahama - wyśmienite. Ale czy to przez relaksujące efekty kąpieli, czy przez rozwiązujące język właściwości wina, konwersacja przy kolacji była, łagodnie mó

więc, bezpruderyjna.

Daisy jeszcze teraz zapiekły policzki na samo jej wspomnienie.

- W tej chwili przestań! - nakazała sobie na głos.

Odepchnęła się od drzwi i znowu poczuła to samo drżenie co w wannie, przenikające na wskroś ciało. Zupełnie jakby budziło się w niej coś od dawna uspiętego. Racjonalna Daisy potrząsnęła z politowaniem głową.

- Pożądanie, najzwyczajniejsze w świecie pożądanie! - mruknęła pod nosem, zgasiła światło i skierowała się do sypialni.

- No, jeszcze jeden dzionek z głowy! - rzekł Julian o wpół do ósmej wieczorem, kiedy padłszy w salonie ona na sofę, on na fotel, rozkoszowali się spokojem i ciszą.

- Chcę ci zadać hipotetyczne pytanie - odezwała się Daisy. - Gdyby na badaniach ultrasonograficznych wyszło, że będę miała bliźniaki, wycofałbyś się z naszego rodzicielskiego układu? Może wyskoczyłbyś z okna?

Powiedziawszy to, poderwała rękę do ust, wstrząśnięta swoim założeniem, że ich układ został już zawarty. Julian uśmiechnął się.

- Ja mam to samo uczucie - przyznał. - Wydaje mi się, że znamy się od stu lat i już dawno postanowiliśmy spędzić razem życie. A po raz pierwszy odniosłem to wrażenie dzisiaj w parku, kiedy Shaun ubrudził ci bluzkę lodami. Wzięłaś go na ręce i pocałowałaś, a potem oczyściłaś, nie przejmując się tym, że sama jesteś w plamach.

- Mówisz tak, jakbyś przez całe życie szukał zapać-

kanej lodami baby - burknęła Daisy, ściągając bluzkę na przedzie, by nie było tak widać plam ani kurzu, który się do nich przykleił. - Trzeba mi było wcześniej powiedzieć, jak strasznie wyglądam. Wróciłabym do domu się przebrać.

-I zostawiła mnie z tymi bestyjkami samego, tak? Nie ma głupich!

Przeniósł się z fotela do niej, na sofę, i położył rękę na oparciu.

- Może byśmy się tak wykąпали? - zaproponował, do tykając koniuszkami palców jej ramienia.

Dreszcz, który rozszedł się rykoszetem po Całym jej ciele, podpowiedział Daisy, że być może nie chodzi mu tylko o kąpiel. Kiwnęła jednak głową i tym razem nie powiedziała, że pójdzie do domu się przebrać.

- Teraz? - spytał, gładząc palcami jej ramię i szyję.

Ponieważ chaotyczna mieszanina nerwowości i pożądania ścisnęła jej struny głosowe, kiwnęła tylko głową, głucha na ostrzeżenia głosu wewnętrznego, który wypominał jej, na co właśnie się zgodziła.

Ale ona naprawdę chce mieć dziecko...

On ma dobre geny...

Od czegoś trzeba zacząć...

- Nago?

Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi, bo prze-rwał jej tę wewnętrzną sprzeczkę i tak zamącił w głowie, że sama już nie wiedziała, co myśli i czuje.

- Czy ty wciąż musisz zadawać pytania? Nie możemy tego tak po prostu zrobić?

- Masz na myśli seks? - spytał, zbity trochę z tropu.

- Niekoniecznie - mruknęła Daisy - choć i to nie jest wykluczone. Miałam na myśli wejście nago do wanny mimo wszystko. Skoro decydujemy się mieć ze sobą dziecko, to prędzej czy później i tak zobaczymy swoje ciała. Ale zróbmy to bez rozmawiania o tym. Nie planujmy każdego następnego ruchu.

- Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś gotowa - powiedział, zabierając z jej ramienia rękę i upychając sobie obie dłonie pod kolana. - Myślałem, że jesteśmy już na tym etapie, że możemy rozmawiać bez zahamowań o wszystkim.

Daisy przycisnęła dłonie do pałających policzków.

- Chodźmy już do tej wanny.

Julian wstał zupełnie pogubiony. Zdecydowanie pragnął tej kobiety - teraz, fizycznie - i nie miał najmniejszych wątpliwości, że będzie wspaniałą matką dla jego dzieci. Dlaczego więc wydaje mu się, że pędzi w nieznaną diabelską kolejką, nad którą nikt nie sprawuje kontroli? Co się stało z tą racjonalną, rozsądną częścią jego mózgu, która do tej pory tak bezbłędnie zawiadywała jego życiem?

Chyba dwa dni z tymi demonicznymi bliźniakami nie doprowadziły tam do jakiegoś krótkiego snu!

Puścił do wanny wodę, potem uruchomił bicz wodny, ale kiedy Daisy weszła do łazienki i zaczęła się rozbierać, ściągając na początek koszulę i obnażając duże, pełne piersi, mruknął:

- Zapomniałem o interkomie - i wybiegł, żywiąc nadzieję, że zrozumiała aluzję i będzie już w wodzie, kiedy on wróci.

Tylko że wtedy sam będzie się musiał rozbierać na jej oczach...

Czy nie przybrał czasem na wadze? Czy mięśnie mu aby nie zwiotczały? W Londynie przynajmniej raz w tygodniu bywał na siłowni, ale przez kilka ostatnich tygodni...

Zajrzał do bliźniaków - spały smacznie - znalazł zdalne urządzenie podsłuchowe i wrócił do łazienki. Daisy leżała w wannie, opierając głowę o jej krawędź, oczy miała zamknięte.

Czyżby nie chciała widzieć go nagiego?

Kręcąc głową nad własną niepewnością, rozebrał się i wśliznął do wanny.

- Wspianale, prawda? - mruknęła Daisy, nadal nie otwierając oczu. - Gdybyśmy mieli bliźniaki, zatrudniłoby się chyba do nich niańkę.

Ta praktyczna uwaga wypowiedziana cichym, sennym, obojętnym głosem wywarła na Julianie dziwny efekt - efekt związany zwykle z daleko bardziej erotycznymi pomrukami, kiedy więc palce Daisy otarły się przypadkiem o jego nogę, on z całą premedytacją odwzajemnił jej się tym samym.

- Mmm, jak miło.

Takiej właśnie zachęty było mu trzeba. I co z tego, że diabelska kolejka wymyka się spod kontroli? Będzie miał przynajmniej trochę przyjemności z tej jazdy.

Przysunął się bliżej, wyciągnął rękę.

„Nie możemy tego po prostu zrobić?“, spytała wcześniej, i teraz był zdania, że chyba by mogli - w każdym razie niedługo. Zwłaszcza jeśli ona dalej będzie go tak



całowała, a jej piersi będą się tak ocierały o jego tors. Wywoływane tym odczucie, wzmacniane przez ciepło wody, doprowadzało go do szaleństwa.

Mam tu piękne, wygodne, królewskie łoże, może tam byś wołała? - wyszeptał, uświadamiając sobie, że proces „wzajemnego poznawania siebie” przenosi się na całkiem nową płaszczyznę.

- Nie, spróbujmy tutaj - odszepnęła, jeszcze bardziej podsycając jego podniecenie przewrotnym uśmiechem i przygryzieniem ostrymi ząbkami jego dolnej wargi. - Ciekawa jestem, czy dziecko poczęte w wodzie jest bardziej zadowolone z życia i spokoju.

Ostatnia racjonalna komórka mózgu Juliana była jej wdzięczna, że nie wspomniała już o ewentualności posiadania bliźniaków. Pocałował ją namiętnie, pieszcząc jednocześnie jej skórę i układając tak, by dopasować do siebie jak należy ich nieważkie ciała.

- Och! - westchnęła nieco później i zarumieniła się, ale zabawny uśmiezek sugerował, że nie spodziewała się aż takiej przyjemności. Potem oplótła go nogami w pasie, co pozwoliło im się zespolić jeszcze ściślej i teraz Julianowi wyrwało się westchnienie, a raczej jęk rozkoszy:

- Aaaach...

Trwali jeszcze w objęciach, spełnieni już, ale nie-skorzy do rozdzielania się, kiedy zadzwonił telefon.

- Cholera, bliźniaki się pobudzą. Że też nie zabrałem tu przenośnego.

Julian oderwał się od niej i szykował do wyskoczenia z wanny, kiedy dzwonek umilkł i Daisy podała mu słuchawkę.

- Zauważyłam go wczoraj wieczorem - wyszeptwała, kiedy mówił „halo”, po czym odsunęła się od niego i korzystając z okazji, przyjrzała się dobrze mężczyźnie, który tak nagle skierował jej życie na zupełnie inny tor.

I dał jej ciało zupełnie niespodziewaną, tym niemniej boską rozkosz!

Nie myśl o tym. Myśl lepiej, do czego cię to zaprowadzi. Właściwie do czegoś wcale nie tak odległego od tego, co zaplanowałaś - z tym że ojciec dziecka będzie odgrywał permanentną rolę w jego życiu, co z punktu widzenia dziecka nie jest takie złe.

I zdarzyło się szybciej, niż się spodziewała.

Tę galopadę myśli przerwał gwałtownie podniesiony głos Juliana rozmawiającego obok przez telefon:

- Pewnie, że sobie radzę. A czego się bałaś? Że po topię ich w wannie?

Zakończył jeszcze paroma uspokajającymi zapewnieniami i obietnicą, że spotka tego kogoś rano, po czym rozłączył się i przysunął z powrotem do Daisy. Wyczuła, że jest spięty.

- Co się stało?

Westchnął głęboko.

Moja matka przyjeżdża! - rzekł tonem tak zgnębionym, że Daisy się roześmiała. - Wiem. Wiedziałem, że przyjedzie, ale teraz, kiedy słowo staje się ciałem, pada na mnie blady strach.

- Czym się tak przejmujesz? - spytała, chociaż na samą myśl o wizycie własnej matki w najbliższej przyszłości jej też ścisnął się żołądek.

- Ona jest niemożliwa. Jest taka rzutka, jeśli wiesz,

o co mi chodzi. - Zaczął ją gładzić po szyi. - Dobrze ze sobą żyjemy, ale oj, Daisy, jaka ona jest męcząca. Nawet sobie nie wyobrażasz. Jest jak cyklon bez oka, nie pofolguje ani na moment.

Rozbudzona jego pieśczołą Daisy pochylila się i zamknęła mu usta pocałunkiem, co pociągnęło za sobą nieoczekiwane skutki, jeśli wziąć pod uwagę to, do czego nie tak dawno między nimi doszło.

Niemniej ton, jakim Julian mówił o swojej matce, zapadł Daisy w pamięć, a świadomość, że obecność tutaj jego rodziców wykluczy kolejne wspólne kąpiele, napełniła ją żalem.

- Nie wiem jak ty, ale ja po tej całej gimnastyce, chociaż miło było, strasznie zgłodniałem. Zorganizuję coś na ząb.

To mówiąc, wyszedł z wanny. Najwyraźniej przestał się już przejmować przyjazdem matki.

- A ja pomarszczyłam się od tej wody jak suszona śliwka - zauważyła Daisy.

Wzięła ręcznik, który jej podał, wdzięczna, że sam zdążył się już owinąć drugim, bo zażyłość zażyłością, ale z nagością nie tak łatwo się oswoić.

Wyszedł z łazienki i wrócił z kąpielowym szlafrokiem.

- Gdybyś dała mi swoje klucze, skoczyłbym na dół i przyniósł ci jakieś czyste rzeczy - zaproponował.

Uśmiechnęła się.

- Żeby nikt nie przydybał mnie w windzie w szlafroku? - spytała. - Zaczęłyby się plotki. To nieduży bu-dynek i niewiele trzeba, żeby wzięli cię na języki. A po tem któraś z sąsiadek, pomagając twojej matce przy

bliźniakach...

- Oj! - jęknął przestraszony.

- Dobrze się zastanów - poradziła mu. - Powtarzasz mi wciąż, że nie chcesz mnie popędzać, to ja teraz mówię ci to samo. Mało prawdopodobne, żebym już była w ciąży, a nawet jeśli, to jeszcze da się to załatwić. Ale kiedy na poważnie przystąpimy do realizacji projektu robienia dzieci i zajdę w ciążę, a ty dalej będziesz chciał się zaangażować jako ojciec, to będzie to dla ciebie oznaczało poświęcenie całego życia. Jeśli nie mnie, to dziecku.

- Ależ tobie też, naturalnie - zachnął się, owijając ją szlafrokiem i przytulając. - Na tym się wszystko zasadza. Chętnie ożenię się z tobą już teraz, nie czekając, aż zajdziesz w ciążę.

Daisy pokręciła głową.

-Nie, nawet jeśli odpowiada mi ten twój pomysł zawarcia małżeństwa, to ty tak bardzo pragniesz mieć dziecko, czy dzieci, że nie chcę cię w ten sposób krępować - powiedziała, odsuwając się od niego, bo te słowa przyprawiły ją o panicznie szybkie bicie serca, a nie chciała, żeby to wyczuł.

Popatrzył na nią jakoś dziwnie, pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Zrzucę coś na siebie i zakrzętnę się w kuchni. Mo że być grzanka z jajecznicą, czy wolałabyś coś konkretniejszego?

Daisy sięgnęła po zegarek i pokręciła głową.

- O wpół do jedenastej? Nie, wystarczy grzanka z jajecznicą. Ale pozwól, że ja się tym zajmę.

- O nie! - zaprotestował Julian. - Jestem facetem oświeconym i wyznaję zasadę równości płci. Poza tym, jeśli przekupię cię posiłkiem, spojrzysz może przychylniejszym okiem na moją propozycję.

Pomyślała, że jeśli nie znajduje się w świecie równoległym - a w zasadzie była teraz przekonana, że się w nim nie znajduje - to na pewno w jakimś wesołym miasteczku, na autodromie, a jej życie, potrącane raz po raz jak ten samochodzik to z tej, to z tamtej strony zmienia wciąż kierunek w takim tempie, że w głowie się mąci i nie wiadomo już gdzie przód, a gdzie tył.

Dosyć tego! - ofuknęła siebie w duchu. - Skończ z tymi fantazjami i zacznij myśleć rozsądnie.

Przewiązała szlafrok paskiem i poszła do kuchni, gdzie Julian fachowo ubijał jajka. Ten widok, nie wiedzieć czemu, na nowo ją podniecił.

- Wspominałaś, że pracowałaś kiedyś u doktora Clementa - napomknął. - Czy odeszłaś stamtąd, bo dosyć miałaś bezpośredniego kontaktu z pacjentem, czy też oferta radia była nie do odrzucenia?

Daisy uśmiechnęła się. Ona tu myśli o seksie i małżeństwie, a jemu w głowie praca. Mężczyźni i kobiety są zdecydowanie inaczej okablowani. Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Złożyły się na to różne przyczyny - odrzekła, gładko unikając odpowiedzi wprost.

- Ale teraz chcesz tam wrócić? Pokręciła z uśmiechem głową.

- Niełatwo dajesz za wygraną, co?

- Lepiej się do tego przyzwyczajaj! - Julian obejrzał się i zobaczyła w jego oczach wyzwanie. - No, słucham?

Przelał pieniące się jajka na patelnię i dalej mieszał.

- Idę tam tylko na sześć miesięcy - wyjaśniła - i wcale tego nie planowałam, ale Chelsea bardzo źle się czuje w pierwszych miesiącach ciąży i postanowiła przerwąć na jakiś czas pracę. Poprosiła mnie o zastępstwo, bo pracowałam tam kiedyś i znam się na rzeczy.

Uśmiechnął się.

- Nie usłyszałem jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie - zauważył - ale zostawmy to na razie. Pomyślmy lepiej o mojej matce. Podobnie jak twoi współlokatorzy z tego budynku, potrafi wyniuchać, że coś między nami jest, z taką samą łatwością, z jaką mysz znajduje ser. Nie będzie ci to przeszkadzało?

Daisy zmarszczyła czoło.

- Czy ja wiem - burknęła. - Zresztą między nami niczego takiego nie ma, prawda? Uniósł ze zdumieniem brwi.

- Wiem, tobie może się wydawać, że jest - podjęła z determinacją - ale ja nie jestem jeszcze pewna. Poza tym dopiero co wróciłeś do Australii. Jak byś zdążył w tak krótkim czasie związać się tu z kobietą?

- Zauroczenie. Miłość od pierwszego wejrzenia. Mnóstwo ludzi wierzy w te brednie.

Patrzył na nią z tak prowokacyjnym uśmiechem, że roześmiała się, chociaż na temat tych „bredni” miała całkowicie odmienne zdanie.

- No a twoja strona internetowa i w ogóle Internet?

- Jej śmiech najwyraźniej nie speszył Juliana. - Bez wie-dzy rozmaitych wścibskich indywiduów z mojej rodzi

ny, a nawet, gdybyś podchwyciła ten pomysł, twoich przyjaciółek, korespondowaliśmy ze sobą od jakiegoś czasu. Poznaliśmy się i zakochaliśmy w sobie za pośrednictwem Internetu. To w dzisiejszych czasach normalka.

I znowu Daisy doświadczyła tej samej co niedawno, przyspieszonej akcji serca.

To głód, wytłumaczyła sobie, po czym przystąpiła do wytykania mu niekonsekwencji w bajce, którą na oczekaniu zmyślił.

-Ale twoja matka chyba wie, że nie wierzysz w miłość? Czy musimy obmyślać jakiś scenariusz rzekomej miłości? Może ona zaakceptowałaby takie małżeństwo z rozsądku: dwoje poważnych ludzi postanawia mieć ze sobą dziecko.

Przestał mieszać jajecznicę i spojrzął na Daisy z przerażeniem.

- Z moją matką ten numer nie przejdzie! - stwierdził z przekonaniem. - Jest największą w świecie zwolenniczką Miłości przez duże M. Jej zdaniem tylko dzięki niej świat się kręci, i podejrzewam, że nie mieści jej się w głowie, że można począć dziecko bez miłości.

Odwrócił się, bo jajecznicę zaczęła mu się przylepiać do dna patelni. Uratowawszy sytuację, wrzucił kromki chleba do tosteru i w ogóle zajął się kucharzeniem, tak jakby w jego mniemaniu wszystko, co miało być powiedziane, zostało już powiedziane.

Ale nie zostało - przynajmniej zdaniem Daisy.

- Nie chcę, żebyśmy cokolwiek udawali i dla uwiarygodnienia dorabiali do tego jakieś historyjki -oświad-

czyła. - Jeśli zaczniemy wprowadzać nasz układ w życie, jeśli zaczniemy się udzielać towarzysko, to twoja matka, będąc tu, na miejscu, szybko się o tym dowie. I jeśli zajdę w ciążę i postanowimy się pobrać, nie będzie to dla niej takim totalnym szokiem. Nie będziemy jej musieli niczego wmawiać. Sama dojdzie do wniosku, że się poznaliśmy i zakochaliśmy w sobie.

- Za dużo tych „jeśli” w twojej propozycji - stwierdził Julian i powaga, z jaką nakładał jajecznicę na talerzyki, nasunęła Daisy podejrzenie, że cały ten pomysł przestaje mu się podobać. - Ważnych „jeśli”, Daisy. Trzeba te „jeśli” wyeliminować, zanim podejmiemy fizyczny związek.

Spojrzała ze ściśniętym żołądkiem na jajka, a potem w jego oczy koloru oceanu.

Dasz mi tydzień do namysłu? - spytała, chociaż serce waliło jej niespokojnie, a głos wewnętrzny podpowiadał, że chyba oszalała, jeśli w ogóle chce się nad tym zastanawiać, przypominał wszystkie powody, dla których podjęła pierwotnie decyzję o samotnym macierzyństwie.

Tydzień - zgodził się i po raz pierwszy, od kiedy się poznali, nie dostrzegła na jego twarzy choćby cienia uśmiechu.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Szybko uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej bezpośredniego kontaktu z pacjentami. Praca w przychodni, w zespole, który pomagał dzieciom z różnymi problemami odzyskiwać właściwy potencjał emocjonalny, przynosiła o wiele więcej satysfakcji, niż prowadzone przez telefon bądź za pośrednictwem e-maili rozmowy z osobami bez twarzy.

- Jeszcze dwa dni!

Julian wsunął głowę do salki, w której obserwowała chłopca nazwiskiem Christian Kerr, rozpoczynającego ćwiczenia pod okiem opiekującej się nim terapeutki zajęciowej.

Daisy zerknęła na drzwi i poczuła znajomy już skurcz żołądka, kiedy Julian, uśmiechnąwszy się do niej, cofnął głowę. Christian trząsł stołem, przy którym siedział z terapeutką Sue, uderzając w niego od spodu kolanami.

Ignorując ten skurcz i znaczenie słów Juliana, Daisy skupiła się na zachowaniu Christiana i zanotowała coś w leżącym przed nią formularzu.

Nie trzeba jej było przypominać o zbliżającym się wielkimi krokami dniu D - D jak Decyzja. Poprosiła o tydzień do namysłu w niedzielę, a dzisiaj był już piątek.

Westchnęła, obserwując coraz bardziej odbiegające od normy zachowanie Christiana, i zaznaczyła jeszcze

kilka punktów w formularzu.

Z matką Juliana też miała problem. Była tak nieznośnie miła. Nie żeby miłe usposobienie było czymś złym, ale pani Austin - „Mów mi Diana, kochaniutka” - należała do tego gatunku przyjemnych osób, w towarzystwie których Daisy, która nie miała doświadczenia w obcowaniu z wylewną przyjacielskością na taką skalę, wprost skręcało.

No i zwierzała się Daisy z rzeczy, o których ta zdecydowanie nie powinna wiedzieć. Opowieści o Julianie jako cudownym niemowlaku, genialnym dziecku i idealnym nastolatku mogła jeszcze słuchać. Ale kiedy temat schodził na dziewczęta, z którymi się kiedyś umawiał - „Nigdy z żadną długo nie pochodził, kochaniutka” - Daisy czuła się skrępowana.

Christian odszedł od stołu i zaczął się bawić sznurkami przy żaluzji. W pewnym momencie żaluzja zatrzasnęła się i chłopiec zniknął Daisy z oczu.

Takie samo z ciebie ziółko jak z tego Christiana, pomyślała, wracając pamięcią do poprzedniego tygodnia i niewiarygodnego interludium w wannie. Oszołomiona zaspokojeniem, jakiego wtedy doznała, gotowa już była wbrew wszelkiemu rozsądkowi przystać na propozycję Juliana.

Czysty egoizm - masz myśleć, co będzie dobre dla dziecka, a nie zabiegać o własne przyjemności.

Sue rozsunęła żaluzje i Christian znowu objawił się światu. Gapił się teraz w przestrzeń i ani myślał wykonać polecenie Sue, która poprosiła go, by wybrał z półki z zabawkami sześć niebieskich przedmiotów. Na

pewno to polecenie słyszał, bo na początku podszedł do półki, wziął z niej niebieską piłeczkę i małą niebieską ciężarówkę, ale potem usiadł i zaczął się bawić ciężarówką, popychając ją tam i z powrotem po wykładzinie.

Jeszcze dwa ptaszki w jego karcie - jeden przy niezwracaniu uwagi na to, co się do niego mówi, drugi przy niekończeniu zadania...

- No i jak wypada?

Aż podskoczyła. Za nią stał Julian. Nie słyszała, kiedy wszedł do sali.

- Fatalnie - powiedziała, pokazując mu formularz. Przebiegł go wzrokiem i przyglądał się przez chwilę Christianowi.

- Faktycznie - przyznał. - Jego matka tak dokładnie opisała jego zachowanie, że od razu wiedziałem, że to nie nadaktywność ani nieposłuszeństwo. Jest najmłodszy z czwórki rodzeństwa, więc miała porównanie. - Westchnął. - To na razie - powiedział, dotykając lekko jej ramienia.

Daisy przeszedł dreszcz i przemknęło jej przez myśl, jak łatwo popadli w rutynę - codziennie po pracy wjeżdżała na górę pomóc Dianie przy bliźniakach, a potem, kiedy chłopcy byli już w łóżkach i wrócił Julian, wypijała drinka z całą trójką Austinów. Musiała jednak przyznać, że przyjemna to była rutyna.

Drzwi znowu się otworzyły. Spojrzała w ich stronę.

- Dzisiaj się nie zobaczymy. Christian jest ostatnim pacjentem, ale muszę jeszcze wpaść do szpitala, a potem mam tę umówioną kolację. Będziesz się widziała z moją matką? Przypomnij jej, że dzisiaj wrócę później

niż zwykle, dobrze?

Daisy kiwnęła głową. Zabrzmiało to jakoś po domowemu.

Sue odprowadziła Christiana do gabinetu Juliana i Daisy została w salce sam na sam ze swoimi myślami.

Kiedy wieczorem pomagała Dianie kąpać chłopców, rozmowa zeszała na sprawy rodzinne.

- Tak się cieszę, że Julian postanowił osiąść w Westside i będę teraz miała blisko całą rodzinę - powiedziała Diana. - Boże Narodzenie, Wielkanoc, Dzień Matki - wszystkim tym świętom, w które spotyka się rodzina, czegoś brakowało, kiedy go nie było.

Zerknęła na Daisy.

- A twoja rodzina mieszka gdzieś tu blisko? Często widzisz się z rodzicami? Jesteście w kontakcie? Wielu moich znajomych rzadko widuje swoje dorosłe dzieci, a ja zawsze byłam zdania, że miłość rozkwita najchętniej w rodzinnym cieple.- Jeśli dzieci są kochane nie tylko przez rodziców, ale również przez innych członków rodziny, to są bardziej skłonne do dawania miłości potem, kiedy nadejdzie ich czas. Rodzina to coś w rodzaju banku miłości - zakończyła Diana, odwracając się z uśmiechem do Daisy.

- A czy zbyt częste korzystanie z jego zasobów nie grozi wyczyszczeniem konta? - spytała Daisy, rada, że nie musi odpowiadać na zadane wcześniej przez Dianę „rodzinne” pytania.

- Skądże znowu! - zapewniła ją Diana. - Te zasoby pozostają nienaruszone. Dzieci nie zdają sobie może z te go sprawy, ale podświadomie wyczuwają miłość

między rodzicami, a to działa jak bankowa lokata, której nie dość że nie ubywa, to jeszcze procentuje. A samo konto jest wciąż uzupełniane, a to uściskami i całusami, kiedy odwiedzają babcię, to znowu kartką z urodzinowymi życzeniami od wujka Juliana. Wszystko to się liczy.

Daisy westchnęła. Julian wspominał, że jego matka jest gorącą orędowniczką miłości, ale żeby aż taką? Jej dostatecznie obce było już pojęcie „szczęśliwej rodziny”, a co dopiero dzieci dorastające z kontami w „banku miłości”!

A ta „procentująca lokata” rodzicielskiej miłości? W małżeństwie z rozsądku takiej nie będzie.

Diana otarła mydło z oczu Ewana i podjęła:

- I dlatego tak się martwię o Juliana. Posłaliśmy go do szkoły z internatem, kiedy był jeszcze mały. To była bardzo trudna decyzja, bo zdawałam sobie sprawę, że będzie mu tam brakowało rodzinnego ciepła i miłości, ale był taki zdolny, że śmiertelnie się nudził w domu. I teraz nie wiem, czy jest taki zamknięty w sobie przez ten brak miłości w ciągu lat spędzonych poza domem, czy też należy to złożyć na karb jego nieprzeciętnej inteligencji.

- Julian zamknięty w sobie? - powtórzyła Daisy, mając przed oczami mężczyznę, z którym można rozmawiać o wszystkim.

- Och, ludzie, widząc jego uśmiech, uznają go za pogodnego i towarzyskiego, ale przyznam ci się, Daisy, że dla mnie samej jest tajemnicą, co się pod tym uśmiechem kryje. Zawsze się obawiałam, że on może nie wiedzieć, co to miłość, że przez ten długi pobyt poza

domem historia jego konta miłości nie przebiegała jak należy. Wiem, że w jego życiu były kobiety, ale z tych związków najwyraźniej nic nie wyszło. Chociaż teraz, kiedy wrócił z tułaczki po świecie, trafi może na kogoś odpowiedniego. Odnajdzie tu miłość, której tak mu w życiu brakowało.

Ha! - pomyślała Daisy, szukając na dnie wanny upuszczonego mydła. Musiała jednak przyznać, że rozmowa z Dianą była wielce pouczająca. Julian wspominał o tej szkole z internatem, i Daisy współczuła mu, wyobrażając sobie małego chłopca wysyłanego w szeroki świat. Jeśli się dobrze zastanowić, to podobnie jak ona był w dzieciństwie pozbawiony bliskich rodzinnych więzi, ale podczas gdy ona próbowała to teraz nadrobić, szukając miłości, on negował ją w całej rozciągłości.

A tych kilka epizodów z okresu, kiedy był nastolatkiem, nazywał zaburzeniami wieku dorastania!

- Chciałabym, żeby się ożenił i miał dzieci - mówiła dalej Diana i Daisy znowu zaczęła jej słuchać. — Madeleine uważa, że swoją rolę w dostarczaniu mi wnucząt już odegrała, a ja tak bardzo chciałabym mieć jeszcze wnuczkę.

Czyżby mówiąc to, zerknęła na Daisy? Daisy, zajęta wyjmowaniem z wanny wyslizgującego się z rąk Ewana, nie była tego pewna.

Diana chyba nie oczekiwała od niej odpowiedzi, bo paplała dalej o Julianie, wnukach i miłości - głównie o miłości.

Daisy dochodziła do wniosku, że w tej paplaninie jest jednak sporo sensu. Przemawiała do niej, na przy

kład, ta analogia z kontem bankowym. Historia jej konta zaczynała się od bankructwa, a ona tak bardzo starała się potem wybrnąć z tej sytuacji, że popadła w jeszcze gorszą bryndzę finansową... znaczy się, emocjonalną. Jeśli pierwszą wpłatą na to konto jest miłość łącząca rodziców dziecka, to zawierając małżeństwo z rozsądku, zafunduje swojemu dziecku na początek takie samo bankructwo.

Nieprawdaż?

Zatopiona w tych niewesołych myślach owinęła Ewana w suchy ręcznik i ruszyła w ślad za jego babką do sypialni bliźniaków.

- Pójdiesz dzisiaj z nami na kolację do Mickeya? Pytanie Diany wyrwało ją z zadumy.

- Wiem, że Julianowi coś wypadło, ale poprosiliśmy Jasona, żeby posiedział przy dzieciach, i schodzimy tam z Dickiem wieczorem. Chciałabym jakoś ci się odwdziżyć za pomoc. - Uśmiechnęła się do Daisy.

- Niestety, nie mogę. Mamy dziś z przyjaciółkami babski wieczorek i spotykamy się wszystkie na kolacji u Gabi.

- A tak, coś mi wspominała - przypomniała sobie Diana, stawiając Shauna na podłodze i zaganiając obu chłopców przed sobą do kuchni.

Nakarmiły bliźniaków i kiedy wrócił Dick - ojciec Juliana - Daisy pożegnała się i zjechała do siebie. Napuściła do wanny wody, rozebrała się i zanurzyła w ciepłej kąpieli. Oparła głowę o krawędź i patrząc w sufit\* wyobraziła sobie szczęśliwe rodzinne święta ze starszymi Austinami - Boże Narodzenie, Nowy Rok, Wielkanoc.

Diana przepelniona miłością i przekonana, że jej dzieci też są jej pełne - a ona i Julian tylko udają zakochanych.

To by było życie w zakłamaniu - powiedziała do sufitu. - Oszustwo!

- Ale przecież już to rozważałaś - Odpowiedziała sama sobie - i zamierzałaś się zgodzić.

Westchnęła.

- Tylko dlatego, że podświadomie miałaś nadzieję, że on w końcu się w tobie zakocha - wyjaśniła łazience. - A teraz, poznawszy sposób jego myślenia, wiesz, że to mało prawdopodobne. Nawet własna matka podejrzewa go o bankructwo emocjonalne.

Bijąc się tak z myślami, zdecydowała w końcu z żalem, że odrzuci propozycję Juliana. Nie chciała małżeństwa, w którym nie mogłaby liczyć na miłość męża.

Z poczuciem rozwiązanego problemu wyszła z wanny, wytarła się i ubrała. Obwieści mu swoją decyzję w niedzielę, a od tej chwili przestaje o tym myśleć. A pomoże jej w tym wieczór spędzony w gronie przyjaciółek.

Zapukała i weszła do mieszkania Gabi. Pochylona nad stołem Alana rozlewała właśnie do kieliszków coś, co wyglądało na szampana. Pokazała pusty kieliszek i znacząco pomachała do Daisy butelką.

-Tak, poproszę - rzekła Daisy. - Ale szampan? Zwykła ekstrawagancja, czy świętujemy coś doniosłego?

-Alana zachowuje się bardzo tajemniczo, ale aż promieniuje szczęściem, co oznacza, że ma dla nas dobre wieści - poinformowała ją Kirsten. — Wystarczy je tylko z niej wydusić.



- Wyduszanie czegoś z Alany nie zawsze jest proste - zauważyła Gabi. - Może więc zaczekamy, aż dojrzeje, a tymczasem ty nam powiedz, jak się aktualnie przed stawiają twoje ślubne plany? Zesłaś już z listą gości po niżej dwóch tysięcy?

Kirsten parsknęła śmiechem.

Najwięcej kłopotu mam z krewnymi Josha. Mnoży się ten klan Phillipsów jak króliki. Jest ich od groma, i podobno bez żadnego nie może się obejść.

- To może weźcie ten ślub potajemnie - zaproponowała Alana. - Jak my w zeszły weekend.

Przy stole zrobiło się na chwilę cicho jak makiem zasiał, potem wszystkie jej trzy przyjaciółki odezwały się jednocześnie.

- Co zrobiliście? - zapytała Gabi, od dziecka przyjaźniąca się z Alaną.

- Wzięłaś potajemnie ślub z Rorym? - W ustach Kirsten zabrzmiało to jak oskarżenie.

- I bardzo dobrze - orzekła Daisy, bo sama, gdyby wychodziła za mąż, też najchętniej by to tak załatwiła.

- I stąd ten szampan! - Alana uniosła wysoko swój kieliszek.

Stuknęły się, wypiły i Alana wyjaśniła:

- Przepraszam, jeśli poczułyście się zawiedzione - zwłaszcza ciebie, Gabi - ale chcieliśmy się pobrać, zanim przeprowadzę się do Rory'ego. Głównie przez wzgląd na Jasona. A że nie mamy oboje rodziców, a matka Jasona niedawno umarła, pomyśleliśmy sobie, że najlepiej będzie zrobić to po cichu.

Uśmiechnęła się błogo.

Pojechaliśmy na farmę moich dziadków i pastor, z którym znają się od lat, udzielił nam tam ślubu. Jason był drużbą i druhną w jednej osobie, chociaż babcia też się podpisała jako świadek. Potem Jason z nimi został, a my z Rorem pojechaliśmy do jednego takiego klasa hotelu, poprosiliśmy o apartament dla nowożeńców i powyglądaliśmy się jak na młodą parę przystało.

- To znaczy jak? - zainteresowała się Kirsten. - Pijąc szampana ze swoich butów?

- Pfuj! - Gabi, krzywiąc się z niesmakiem, odstawiła kieliszek.

- Owszem, piliśmy szampana, ale nie z butów. A poza tym całowaliśmy się, pieściliśmy i kochaliśmy w wielkiej wannie.

Daisy, której coś to przypominało, uśmiechnęła się, co rzecz jasna nie uszło uwagi Kirsten.

-Zaraz! O ile sobie dobrze przypominam, w pent-housie Frostów też jest taka wielka wanna. Popatrzcie tylko na Daisy. Czyś ty jej czasem nie wypróbowała w ramach pomagania Julianowi przy bliźniakach?

Roześmiały się, ale Daisy, która podjęła już decyzję, nie było wcale do śmiechu.

- Ona chyba śpi z otwartymi oczami. Słowa Gabi wyrwały Daisy z zamyślenia.

Dobrze się czujesz?

-Dobrze, myślałam tylko o pacjencie, którego dzisiaj miałam - powiedziała szybko.

Było to wierutne kłamstwo, ale nie widziała lepszego sposobu na skierowanie rozmowy na inny tor.

- O małym chłopcu absorbującym i męczącym bardziej od dwóch zestawów trojaczków - ciągnęła,

przypominając sobie Christiana. - Jest najmłodszy z czworga rodzeństwa i tak nadaktywny, że nie wiem, jak jego matka sobie z nim radzi. Starsze rodzeństwo nie sprawia żadnych kłopotów. Jedni twierdzą, że to wpływ środowiska, inni że cechy wrodzone, ale nie wiadomo do końca, jak z tym jest.

Rozmowa zeszła na temat wpływu środowiska i cech wrodzonych na rozwój emocjonalny dzieci. Potem dostarczono pizzę i wszystko inne przestało być ważne.

Rozstały się późnym wieczorem. Daisy zjeżdżała windą z Alaną.

- Ty, co jest grane? - spytała Alana, kiedy wysiadły z kabiny na drugim piętrze i Daisy uświadomiła sobie, że znówu się zamyśliła.

Spojrzała spod ściągniętych brwi na przyjaciółkę.

- A ty czemu tu wysiadasz? Skoro pobraliście się z Rorym, to mieszkasz teraz na trzecim. Nie wracasz do męża na noc?

Alana uśmiechnęła się.

- Tutaj zostały moje zwierzątka. Rozglądamy się z Rorym za jakimś domkiem pod miastem, ale do czasu, kiedy znajdziemy coś odpowiedniego, trzymamy oba mieszkania. Przede wszystkim Rory by z nimi zwariował. Idę tylko sprawdzić, czy mają wodę.

Daisy patrzyła na nią wyczekująco. - Martwię się o ciebie - przyznała Alana. - Przez cały wieczór siedziałś jakaś zgaszona. Daisy uścisnęła przyjaciółkę.

- Dzięki za troskę - rzekła zduszonym głosem. - Nic mi nie jest. Muszę tylko rozpracować kilka spraw.

Alana odwzajemniła uścisk.

- Gdybyś potrzebowała rady, to znam adres wspaniałej strony internetowej, którą warto odwiedzić. Jest interaktywna, możesz poprosić o pomoc...

Uśmiechnęła się przewrotnie do Daisy i ta, choć odwzajemniła ten uśmiech, poczuła wyrzuty sumienia, że od wielu dni nie zaglądała na swoją stronę.

- Może to zrobię - oznajmiła i weszła do swojego mieszkania.

Ale nie włączyła, jak to miała w zwyczaju, komputera. Nie zapaliła nawet światła. Przeszła przez salonik, otworzyła drzwi balkonowe, usiadła w bujanym foteliku i zapatrzyła się w nocne niebo. Światła miasta przytłumiały blask gwiazd, ale nie do końca, i Daisy patrzyła na nie z zachwytem, myśląc o miłości.

Jak mogła o niej nie myśleć po spędzeniu wieczoru z trzema przyjaciółkami, z których wszystkie po wielu sercowych perypetiach i porażkach odnalazły wreszcie szczęście w miłości? Gabi oczekiwała pierwszego dziecka, Kirsten, cała w skowronkach, planowała ślub, a Alana wyszła właśnie za mąż i wprost promieniowała wewnętrznym blaskiem.

I wszystkie one nie tylko kochały mężczyzn, których wybrały, ale i same były przez nich kochane.

Pod domem zatrzymała się taksówka. Wysoki mężczyzna, który z niej wysiadł, schylił się jeszcze, żeby zamienić słowo z kierowcą. Potem wyprostował się i kiedy taksówka odjechała, spojrzął na balkon Daisy.

Siedziała nieruchomo, pewna, że jej nie widzi, ale po paru minutach usłyszała ciche pukanie.

Otworzyć czy udawać, że nikogo nie ma w domu?  
Ale nogi same już ją niosły do drzwi wejściowych.

- Wydało mi się, że widzę cię na balkonie - powie  
dział cicho Julian - i pomyślałem sobie, że może nie  
będziesz miała nic przeciwko, jeśli wpadnę.

Wydawał jej się jakiś speszony, jakby nie miał pew-  
ności, dlaczego to zrobił. Stał tak przez chwilę, a potem  
dodał z uśmiechem:

- Jeśli mam być szczery, to bardzo mi się zachciało  
pocałować cię na dobranoc i nie mogłem się oprzeć  
pokusie.

Daisy odwzajemniła jego uśmiech, choć zdawała  
sobie sprawę, że nie powinna tego robić.

- Tylko tego ci się zachciało? - spytała kpiąco.  
Roześmiał się.

- Chyba podświadomie miałem nadzieję, że będzie  
to wstęp do innych przyjemności - przyznał i przesunął  
palcem po jej brodzie. - Przyjemnie było wtedy w wan-  
nie, prawda?

- Było, ale się skończyło - odparła, chociaż głos we-  
wnętrzny gorączkowo protestował. Co złego w odda-  
waniu się przyjemnościom? I czy on nie byłby ideal-  
nym ojcem dla jej dziecka? I czy to nie ostatnia okazja,  
żeby go do tego celu wykorzystać, skoro już się zdecy-  
dowała na macierzyństwo?

Potem mogłaby mu powiedzieć, że się rozmyśliła,  
nie wiedziałby nawet..!

Nie, nie mogłabyś, odezwało się sumienie. Odpada!  
To by było oszustwo! Nawet o tym nie myśl!

Spojrzała mu w oczy i pokręciła głową.

Przyglądał jej się przez chwilę, potem powiedział:

- Nie zawrzesz ze mną tego układu, prawda? Tydzień, co prawda, jeszcze nie minął, ale ty podjęłaś już decyzję.

Kiwnęła tylko głową. Krtań miała tak ściśniętą, że nawet gdyby chciała coś powiedzieć, nie wykrztusiłaby słowa.

Oczy mu pociemniały, być może z gniewu, ale powiedział tylko:

- Niewykluczone, że to pożegnalny pocałunek. Schylił się i wpił wargami w jej usta. Drugi pocałunek był inny, już mniej desperacki, za to bardziej namiętny. Julian wyprostował się i patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

- Mamy dopiero piątek, a ściślej rzecz biorąc początek soboty - odezwał się - ale mniejsza z tym. Tak czy siak, nie przyjmuję twojej odmowy do wiadomości. Po czekam na ostateczną odpowiedź do niedzieli, Daisy, ale zanim mi jej udziелisz, porozmawiamy. - Patrzył jej w oczy z taką intensywnością, jakby chciał ją zahipnotyzować. - I powiesz mi, dlaczego nie chcesz mnie na ojca swojego dziecka.

Pokręciła głową, ale nie powiedziała mu, że odrzuca go niejako ewentualnego ojca swojego dziecka, lecz jako męża, kochankę, życiowego partnera.

I wątpiła, czy do niedzieli zmieni zdanie i czy potrafi mu wyjaśnić motywy, które nią kierują.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ale jak to w życiu bywa, niedziela przyniosła nowe problemy i nie było jakoś czasu na oznajmienie Julianowi bez ogródek, że nic z tego nie będzie. Zaczęło się w sobotę rano od telefonu, który wyrwał Daisy z niespokojnego snu.

-Bardzo przepraszam, że zawracam ci głowę, ale czy nie mogłabyś przejechać się ze mną do szpitala? - Głos Juliana był poważny, ale i tak na nią działał. - Urodziło się dziecko. Pierwsze, ale z wyraźnymi problemami. Dzwonił właśnie do mnie Bill Stevens z położnictwa. Rodzice są załamani, a on nie może się skontaktować z psychologiem, którego zwykle wzywa w takich przypadkach.

Daisy wzięła głęboki oddech.

- Oczywiście, że mogę - odparła, starając się zapanować nad drżeniem głosu.

Była co prawda zmęczona po bezsennej nocy, ale ci ludzie potrzebują pomocy i ona ma obowiązek im tej pomocy udzielić.

- Wezmę tylko prysznic i ubiorę się. Jedź przodem, spotkamy się na położnictwie.

- Dziesięć minut nas nie zbawi - mruknął. - Wyprowadzę samochód z garażu i zaczekam na ciebie pod domem. Pojedziemy razem.

Daisy nie zaprotestowała, chociaż dziesięć minut później, kiedy Julian otworzył przed nią drzwi samo

chodu i wsiadając, otarła się o niego ramieniem, pożałowała tego.

- Bill mówił ci, o co chodzi? Ma jakieś podejrzenia?  
- spytała, kiedy ruszyli.

- Z początku wyglądało mu to na zespół Downa, a teraz wydaje mu się, że to może być Noonan. Ostateczną diagnozę i rozmowę z rodzicami pozostawia mnie.

Zdając sobie sprawę, przed jak trudnym zadaniem stoi, dotknęła lekko jego ramienia - po prostu, żeby wiedział, że ma ją przy sobie.

Julian uśmiechnął się.

- Jesteś niezrównana, wiesz?

Zaskoczona tym komplementem Daisy nie spytała nawet, dlaczego tak uważa.

- Mogłaś się powylegiwać w łóżku do południa, a jedziesz ze mną, żeby mi udzielać moralnego wsparcia.

- Wcale nie! Jadę, żeby udzielić psychologicznego wsparcia rodzicom, gdyby takie było im potrzebne.

- Z doktorem Clementem też byś pojechała?

Skręcili na przyszpitalny parking.

- Doktor Clement by mnie o to nie poprosił - odparowała; - Nie dość, że był świetnym pediatrą, to również dobrym psychologiem i potrafił rozmawiać z rodzicami, którzy znaleźli się w takiej sytuacji.

- Czego nie można powiedzieć o mnie?

- Tego nie mówiłam.

Znaleźli wolne miejsce postojowe i wysiedli z samochodu.

- Idziesz najpierw obejrzeć dziecko? - spytała Daisy. Julian kiwnął głową.



Kiedy weszli na oddział intensywnej terapii noworodków, Daisy ścisnęło w dołku. Odpukać, ale istnieje przecież możliwość, że jej dziecko, kiedy przyjdzie na świat, też będzie potrzebowało kogoś z tych skomplikowanych łóżeczek.

I co by wtedy czuła? Jak by sobie poradziła w takim nieszczęściu - będąc do tego samotną matką?

Julian rozmawiał z dyżurną pielęgniarką — zadawał pytania, słuchał odpowiedzi. Potem podszedł do krytego łóżeczka, spojrzął na leżące w nim maleństwo, otworzył wieko i wziął noworodka na ręce.

I w tym momencie dla obserwującej jego twarz Daisy świat przestał wirować. Nie znajdowała się w świecie równoległym, to był jak najbardziej realny świat - ściślej mówiąc oddział położniczy, na którym kiedyś pracowała - i zrozumiała, że bez względu na wszystko kocha Juliana. Co wcale nie znaczy, że zamierza zwerfikować swoją decyzję.

Julian położył małe ciało na wyściełanym stole, odwinął je z pieluszek i przystąpił do skrupulatnego badania, sprawdzając odruchy, zaglądając we Wszystkie otwory, w każdą fałdkę skóry swojego nowego pacjenta.

- Spójrz na to piękne dziecko. Dziewczynka. Bill miał rację. Wykazuje liczne cechy charakterystyczne dla zespołu Noonana. Dotyka jedno na trzy tysiące dzieci. Spotkałaś się już z tym?

Kiedy Daisy pokręciła głową, Julian pokazał jej szeroko rozstawione oczy, opadające powieki i szeroki nos z prawie płaskim mostkiem. - Małe, nisko osadzone i cofnięte do tyłu uszka, obniżona linia włosów, krótka

szyjka, zwróć uwagę na nadmiar skóry na karku. Ale i tak śliczna, prawda?

Delikatnie zawinął maleństwo z powrotem w pieluski.

- Będziemy musieli przeprowadzić więcej badań i natychmiast po uzyskaniu zgody rodziców każę jej zrobić EKG, bo może mieć problemy z sercem, oraz badania krwi. Chodźmy do rodziców.

Julian oddał noworodka pielęgniarce i otaczając Daisy ramieniem, wyprowadził ją z sali. Zapukał do drzwi izolatki, i kiedy męski głos zawołał stamtąd „Proszę”, weszli do środka.

Mężczyzna siedział na łóżku, obejmując żonę. Oboje mieli zaczerwienione oczy, co świadczyło o ich stanie emocjonalnym.

Julian przedstawił się i miał właśnie potwierdzić diagnozę, którą bez wątpienia słyszeli już od Billa, kiedy mężczyzna powstrzymał go uniesieniem ręki.

- Nie chcemy tego słuchać - rzekł stanowczo. - Nie chcemy wiedzieć. Rozmawialiśmy o tym i chociaż z ciężkim sercem, to postanowiliśmy, że jej nie zabieramy.

Wstrząśnięta Daisy zeszywniała, ale spokój Juliana sugerował, że nie pierwszy raz spotyka się z taką reakcją.

- Dzieci to nie szczeniaczki, proszę pana - powie dział cicho, zatrzymując się w sporej odległości od łóżka, tak żeby para nie poczuła się w jakikolwiek sposób zagrożona. - Nie można się ich tak po prostu pozbywać.

Mężczyzna kiwnął głową. Nie przedstawił się, a Daisy nie spytała Juliana o nazwisko pary.

- Zdajemy sobie z tego sprawę, ale są przecież takie specjalne domy, prawda? Będzie tam z innymi dziećmi,

takimi jak ona, i pod dobrą opieką. I chociaż będzie to dla nas tak, jakby umarła, a to niełatwe... - Kobiecie łzy popłynęły po policzkach i mężczyźni załamał się głos. - Tak chyba będzie dla niej najlepiej, bo nie wiemy, co z nią robić. Jak się nią zajmować, ani jak jej pomóc... Daisy nie miała pojęcia, co powiedzieć, ale Julian najwyraźniej nie po raz pierwszy miał do czynienia z taką sytuacją. Podszedł do stojącej obok łóżka szafki, wyjął z szuflady kilka chusteczek higienicznych i podał je płaczącej kobiecie.

- To po prostu dziecko, i tak też należy ją traktować - rzekł cicho, cofając się i znowu nieruchomiejąc. - Może mieć kłopoty ze zdrowiem, wymagać specjalnej opieki, ale to samo można powiedzieć o wielu dzieciach. Prawie na pewno będzie opóźniona w rozwoju, ale to również jest dosyć powszechnie spotykane. Może mieć pewne problemy z nauką, ale dziewięćdziesiąt procent dzieci z zespołem Noonana chodzi do normalnych szkół.

Zawiesił na chwilę głos, by nazwa przypadłości zapadła rodzicom w pamięć, a kiedy żadne z nich się nie odzywało, podjął:

- Czterdzieści, pięćdziesiąt lat temu rzeczywiście istniały domy, w których można było umieszczać dzieci z wrodzonymi upośledzeniami, tak jakby bycie innym skazywało na życie w zamknięciu, ale dzisiaj już ich nie ma. Dzieci odrzucane przez rodziców umieszcza się teraz w sierocińcach razem z dziećmi normalnymi. Musielibyście ponosić koszty pobytu dziecka w sierocińcu, ale nie moglibyście patrzeć, jak dziecko rośnie i się rozwija.

Znowu zawiesił głos. Daisy wstrzymała oddech, kiedy użył określenia „dzieci odrzucone”.

Podejrzewała, że nie zrobił tego przypadkowo. Miało wstrząsnąć rodzicami, wyrwać ich z szoku, którego doznali wcześniej.

- Tak czy inaczej, nie musicie podejmować decyzji już teraz. Zgłosi się do was pracownik socjalny szpitala, który odpowie na wszystkie pytania. Opowie wam również o pomocy rządowej dla dzieci specjalnej troski, o jaką możecie się starać oraz, jeśli wyrażicie takie życzenie, skontaktuje was z rodzicami dzieci z tym samym syndromem, którzy podzielą się z wami swoimi doświadczeniami. Czasami dobrze wiedzieć z góry, co nas czeka.

Tu Julian zwrócił się do Daisy.

- Przedstawiam wam Daisy Rutherford, moją współpracowniczkę i psychologa. Gdybyście chcieli porozmawiać z kimś spoza szpitala, jest do waszej dyspozycji.

Kobieta spojrzała z wdzięcznością na Daisy.

- Chyba byśmy z tego skorzystali - wyszeptła i zerknęła na męża, którego wyraźnie ogłuszyły rewelacje Juliana, że nie można ot tak sobie uznać swojego dziecka za zmarłe i pozostawić je własnemu losowi.

Widząc, że nie może liczyć na wsparcie z jego strony, kobieta podjęła:

- Ale w tej chwili jesteśmy oboje zbyt zdenerwowani. Mogłaby pani przyjść jutro rano?

Daisy kiwnęła głową i podała kobiecie swoją wizytówkę.

- Tu są numery telefonów do domu i do pracy. Proszę do mnie zadzwonić, to się umówimy. Mieszkam niedaleko szpitala.

Kobieta uścisnęła dłoń Daisy i uśmiechnęła się do Juliana.

- Przepraszam, jeśli pana zszokowaliśmy - powiedziała - ale jesteście tak rozbici, że nie możemy pozbierać myśli.

Julian obdarzył ją uśmiechem, który wyleczyłby chyba nawet chorego na raka.

- Nie zszokowali mnie państwo. To wy jesteście w szoku. Ale musicie przez to przejść i pogodzić się z myślą, że dziecko nie jest tak idealne, jak się tego spodziewaliście, a kiedy już się z tym pogodzicie, będziecie mogli myśleć o reszcie.

Jeszcze jeden uśmiech tak ciepły, że wyrwał wreszcie z odrętwienia mężczyznę, i ten kiwnął głową.

- Poproście jutro Daisy, żeby opowiedziała wam o kobiecie, która wykupiła bilet na samolot do Włoch, a wylądowała w Holandii. To pouczająca historyjka.

Zerknął na Daisy i ta uśmiechnęła się na znak, że wie, o co chodzi. Potem pożegnali się i wyszli z sali.

- Dobrze się czujesz? - spytał, zamykając drzwi.

- Oczywiście - odparła, ale nie było to prawdą. W głowie miała chaos. - Doradzałam już takim parom, ale nie w stanie, w którym odrzucają jeszcze swoje dziecko. Trafiałam zazwyczaj na etap ustalania, czyja to wina...

Julian kiwnął głową.

- Nieboracy, muszą jakoś przez to wszystko przejść. Mam nadzieję, że nie ucierpi na tym ich małżeństwo.

Nie ucierpi, jeśli opiera się na miłości, pomyślała Daisy, ale głośno tego nie powiedziała.

Julian chciał jeszcze zajrzeć na salę noworodków, rozstali się więc i Daisy wróciła do domu pieszo.

Drugi poranek z rzędu budził ją przenikliwy dzwonek telefonu. Przetarła oczy i zaprzęła do pracy otumaniony snem mózg.

- Słucham?

- Pani doktor Rutherford? Mówi Luke Watson. Dała mi pani wczoraj swoją wizytówkę. W szpitalu. Moja żona urodziła dziecko... Nie za wcześnie dzwonię? Obudziłem panią? Przepraszam.

Zerknęła na zegarek. Siódma rano. Czy na tym zwa-riowanym świecie już nawet w niedzielę nie można się porządnie wyspać?

- Tak, panie Watson, pamiętam. I nie jest za wcześnie. Mam przyjść teraz do szpitala? Mogę być za piętnaście minut.

- Tak, byłibyśmy bardzo wdzięczni!

Usłyszała w jego głosie ulgę, ale wydało jej się również, że mówi jakby przez łyżę. Wskoczyła z łóżka i wpadła do łazienki.

-Cholerne włosy - mruzczała chwilę później, kiedy wyszedłszy spod prysznica, usiłowała zaprowadzić jaki taki ład w swoim splątanim wronim gnieździe.

Piętnaście minut potem była w szpitalu. Lukę Watson i jego żona Sherry już tam na nią czekali.

- Zastanawiamy się, o co chodziło wczoraj doktorowi Austinowi - odezwał się Luke. - Wie pani, z tymi Włochami.

Daisy uśmiechnęła się.

- To często powtarzana historia, którą opowiedziała kiedyś swojemu lekarzowi matka dziecka z zespołem Dawna dla zilustrowania tego, co czuje kobieta rodząca dziecko specjalnej troski. Mogę was z nią zapoznać.

Usiadła na krzeselku stojącym obok łóżka. Luke przysunął się do żony.

- Otóż ta kobieta porównała wydanie na świat takiego dziecka z podróżą do Włoch. Matka planuje taką podróż z wyprzedzeniem, kupuje przewodniki turystyczne, wyobraża sobie, co tam zwiedzi, uczy się podstaw języka.

Sherry i Luke pokiwali ze zrozumieniem głowami.

- A potem, kiedy przychodzi wreszcie co do czego, łąduje nie we Włoszech, lecz w Holandii. Naturalnie jest bardzo zdenerwowana, zawiedziona i zła, ale trudno, stało się, trzeba kupić nowe przewodniki i nauczyć się podstaw innego języka. Stopniowo zaczyna dostrzegać w Holandii piękno - tulipany, wiatraki, tempo życia, fakt, wolniejsze niż we Włoszech, ale i to ma swój urok. Nadal żałuje, że nie trafiła do Włoch, zwłaszcza że jeżdżą tam wszyscy jej znajomi i wciąż o nich opowiadają. Nadal gnębi ją, że nie trafiła tam, gdzie chciała, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że jeśli nie przestanie się zżymać, że nie jest we Włoszech, to umknie jej piękno Holandii i wszystko, co ten kraj ma do zaoferowania.

- Chce pani przez to powiedzieć, że ona, choć nie jest taka, jakiej się spodziewaliśmy, wciąż jest naszym dzieckiem, że przyniesie nam radość - wyszeptwała Sherry.

- Radość i ból, i mnóstwo dodatkowej pracy - podchwyciła Daisy. - Ale tak jest ze wszystkimi dziećmi. Wy przynajmniej wiecie od początku, że nie będzie łatwo. No i możecie liczyć na wszechstronną pomoc.

Zauważyła, że Luke marszczy czoło.

- Luke? Chciał pan o coś zapytać?

- Nie wiemy, jak to powiedzieć ludziom. Pochwali-

liśmy się wszystkim znajomym i krewnym, że lecimy do Włoch, wie pani, co mam na myśli. Jak im to teraz powiedzieć? Co sobie pomyślą?

- Pomyślą, że to bardzo szczęśliwa dziewczynka, która ma dwoje troskliwych rodziców gotowych do największych poświęceń. Jedni będą wam współczuli, inni będą okazywać niezdrową ciekawość, ale większość ludzi pośpieszy wam z pomocą.

- Czy moglibyśmy porozmawiać z kimś, kto ma dziecko z tym samym zespołem? - spytała Sherry. - Pracownik socjalny szpitala proponował wczoraj, że nas z kimś takim skontaktuje, ale powiedzieliśmy, że nie chcemy.

Patrzyła błagalnie na Daisy łagodnymi, brązowymi oczami.

- Nie byliśmy jeszcze gotowi - wyszeptała i Daisy kiwnęła głową.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali zajrzała pielęgniarka.

Mam przynieść dziecko? - zapytała i Daisy dostrzegła na twarzach Sherry i Luke'a tę samą co wczoraj, przemieszaną z przerażeniem niepewność.

- Nie! - powiedziała Sherry.

Kiedy pielęgniarka cofnęła głowę i zamknęła drzwi, Luke odezwał się nieśmiało:

- Może korzystając z tego, że pani Daisy tu jest, moglibyśmy...

- Nie - powtórzyła Sherry łamiącym się głosem. - Jeszcze nie teraz, Luke, nie teraz.

Wtuliła twarz w jego pierś, jej ramionami wstrząsnął szloch.



- Mam wyjść? - spytała szeptem Daisy.

Luke pokręcił głową, potem nią pokiwał, potem wskazał na drzwi. Wyraźnie nie mógł się zdecydować. A może chciał, żeby wyszła i zaczęła na korytarzu. .

- Zadzwońię do pani później - rzekł półgłosem. - Jeśli pani pozwoli...

Kiedy wyszła z sali, skinął na nią Bill Stevens stojący przy stanowisku pielęgniarek. Jeszcze jeden, któremu nie dane było pospać w niedzielę.

- Co z nimi? - spytał.

- Nie mogą dojść do siebie. Bill pokiwał głową.

- Młode małżeństwo, pierwsze dziecko. Nie ma się czemu dziwić.

Teraz Daisy pokiwała głową.

Jego rodzice są ze mną w kontakcie - podjął Bill. - Wiedzą, że coś jest nie tak, ale nie wiedzą co. Luke nie chciał z nimi rozmawiać, prosił ich tylko, żeby nie przychodzili do szpitala. Rodzicom Sherry też tak powiedział. Są bardzo zaniepokojeni. Siedzą od samego rana w poczekalni.

- Czy coś mi sugerujesz, Bill? - spytała Daisy.

- A jak myślisz? - mruknął. - O ile dobrze zrozumiałem, ty będziesz się zajmowała rodzicami, a Julian dzieckiem, zamiast więc angażować w to kogoś jeszcze...

- Ale ja bez upoważnienia Sherry i Luke'a nie mogę im nic mówić.

Bill westchnął ciężko.

- Wiem, wiem, ale dziadkowie często mogą bardzo pomóc.

- Porozmawiam o tym z Lukiem - obiecała. - To wszystko, co mogę zrobić.

Wróciła pod salę, zapukała cicho i wsunęła do środka głowę. Sherry leżała nieruchomo na łóżku, oczy miała zamknięte, chyba spała. Daisy skinęła na Luke'a. Wstał i podszedł do drzwi. Był wyczerpany, nieogolony, twarz miał poszarzałą ze zmęczenia, oczy podkrążone.

- Chce pan, żebym porozmawiała z pana rodzicami? Czy to w czymś pomoże?

W jego oczach zapaliły się iskierki ożywienia.

- A zrobiłaby to pani? — spytał, chwytając ją za rękę. - Bo my nie wiemy, jak im to powiedzieć... No, nie wiemy. Zaraz zapiszę pani ich numery telefonów.

Zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papieru i długopisu, ale Daisy przytrzymała jego rękę.

- Oni tutaj są - oznajmiła. - Wiem, że zakazał im pan przychodzić, ale jak mogli pana posłuchać, skoro wiedzą, że macie tu oboje jakiś kłopot? Siedzą w poczekalni. Zaraz z nimi porozmawiam.

Odwróciła się, zawahała i oglądając przez ramię, zapytała:

- A gdyby chcieli się z wami zobaczyć? Zobaczyć dziecko?

Lukę najpierw kiwnął, potem pokręcił głową.

- Mogłaby pani wrócić i spytać o to później? Sherry teraz śpi. Nie wiem, co ona na to...

Daisy podeszła znowu do stanowiska pielęgniarek, żeby spytać, gdzie znajduje się poczekalnia oddziału położniczego. Oddychała głęboko, przygotowując się do czekającej ją rozmowy, kiedy w głębi korytarza pojawił się Julian.

Znowu te same objawy - ucisk w dołku, palpacje serca, uderzenie krwi do głowy - wszystko naraz.

- Cześć. Dobrze się czujesz?

Pewnie zauważył, że trzyma się kurczowo biurka, i dlatego pytał ją o samopoczucie.

- Świetnie! - odrzekła, siląc się na nonszalancki ton. Oderwała palce od biurka i zerknęła ukradkiem, czy na blacie nie zostały czasem ich odciski. - Idę właśnie porozmawiać z dziadkami.

- Może pójść z tobą?

- Nie trzeba, poradzę sobie. Ale gdybym mogła im dać twój numer... gdyby chcieli z tobą porozmawiać...

Julian uśmiechnął się promiennie.

- Oczywiście. Coś jeszcze?

Daisy przypomniała sobie nieoczekiwaną prośbę Sherry.

Gdzieś w twoim gabinecie powinien być numer telefonu do Stowarzyszenia Rodziców Dzieci z Zespołem Noonana. Znajdź mi go. Chcę tam zatelefonować i poprosić, żeby ktoś przyszedł do szpitala porozmawiać z Sherry i Lukiem.

Dobrze. Mam tu jeszcze parę spraw do załatwienia, potem jadę do przychodni. Może zabierzesz się ze mną, jak skończysz z tymi dziadkami? Zaczekałbym na ciebie.

Zawahała się, ale zaraz przypomniała sobie, że to przecież niedziela. A czy neutralny grunt gabinetu w przychodni nie jest najlepszym miejscem na oznajmienie mu, co postanowiła?

- Chętnie - powiedziała i naprawdę tak myślała.

. Wreszcie będzie to miała z głowy.

Julian oddalił się, a ona wzięła jeszcze jeden głęboki

oddech i weszła do małej poczekalni dla rodzin dzieci leżących na intensywnej terapii. Przedstawiła się dziadkom upośledzonego noworodka, powiedziała, że Luke prosił ją, by z nimi porozmawiała i opisała im sytuację.

- Och, biedna Sherry, biedny Luke! - wyszeptała Carol Sly, matka Sherry, i rozplakała się.

- Możemy zobaczyć dziecko? - spytała pani Watson, matka Luke'a.

- Obiecałam Luke'owi, że najpierw go zapytam, czy się na to zgodzi - odparła Daisy.

W tym momencie drzwi się otworzyły i ku zdumieniu wszystkich do poczekalni weszli Luke z Sherry. Sherry niosła na ręku dziecko.

-Chciałam wam przedstawić Isobel - powiedziała cichym, schrypniętym głosem.

Carol zerwała się z krzesła i chciała do nich podbiec, ale Luke powstrzymał ją, unosząc rękę.

- W pojęciu niektórych ludzi nie jest może idealna, ale nam to nie przeszkadza. Tulipany zamiast gondoli.

Dziadkowie sprawiali wrażenie speszonych, i nic dziwnego, ale wzruszona Daisy już wiedziała, że Sherry i Luke najgorsze mają za sobą i są gotowi do ruszenia z miejsca.

Nawet gdyby na początek miał to być dziecinny kroczek.

Uznając, że rodzinie należy się trochę prywatności, wycofała się z poczekalni.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Julian stojący przy stanowisku pielęgniarek zobaczył Daisy wychodzącą z poczekalni. Przeczesała palcami włosy. W geście tym był smutek i desperacja. W pierwszym odruchu chciał do niej podbiec, wziąć w ramiona, pocieszyć. Ale nawet gdyby Daisy mu na to pozwoliła, to szpital nie jest odpowiednim miejscem na takie rodzajowe scenki.

Zdecydowanie.

Zwłaszcza że fizyczny kontakt z Daisy grozi poważnymi konsekwencjami. Potrząsnął głową, przypominając sobie, jakie katusze pożądania przeżywał, pukając do niej w piątek po północy, czy raczej w sobotę nad ranem.

I przez moment, kiedy pozwoliła się pocałować, myślał, że zwyciężył, ale Daisy nie wpuściła go nawet do mieszkania. A dzisiaj ma mu powiedzieć, że z ich małżeństwa nic nie będzie.

Westchnął i zdobył się na uśmiech, kiedy podeszła do stanowiska pielęgniarek, przy którym na nią czekał.

- W porządku?

- Chyba tak - odrzekła, odwzajemniając jego uśmiech. - Nie, „chyba” to za mało powiedziane. Watsonowie przedstawiają właśnie Isobel jej dziadkom.

- To cudownie - ucieszył się. - Skończyłaś już tutaj?  
Możemy iść?

Daisy kiwnęła głową i ruszyła przodem w kierunku windy. Dogonił ją, zrównał krok i spojrzął na nią z góry.

- Teraz musimy tylko skontaktować się ze Stowarzyszeniem Noonana - skonstatowała i podniosła na niego wzrok. - Po co jedziesz do przychodni w niedzielę?

Może żeby uniknąć konfrontacji z tobą? - pomyślał, a na głos powiedział:

- Przede mną jeszcze wiele nauki. Przez cały ten tydzień miałem do pomocy Carla Clementa, ale w przyszłym będę zdany tylko na siebie, pomyślałem więc, że przydałoby się przejrzeć książkę zapisów i zapoznać się z kartami przynajmniej tych pacjentów, których mam przyjmować w poniedziałek i wtorek.

Zatrzymali się przed pozostawionym na parkingu samochodem. Otworzył jej drzwi i przytrzymał je tak, że wsiadając, musiała przejść pod jego ramieniem. Zajęła miejsce w fotelu pasażera i podniosła na niego wzrok.

-Czy zdajesz sobie sprawę, że pracując w weekendy, wyrabiasz złą markę specjalistom? I tak mają już opinię pazernej grupy społecznej, która wszystko przelicza na pieniądze.

Julian zachichotał. W mediach toczyła się aktualnie poważna debata na ten temat i wiedział, co sądzi tak zwana opinia publiczna o wygórowanych zarobkach lekarzy specjalistów.

- Tobie też zdarza się pracować po godzinach - zauważył.

- Tak, ale ja mam powód - stwierdziła, poważniejąc.

-Na przykład odrzucenie mojej propozycji na neutralnym gruncie?

I widząc jej zaskoczenie, dodał: - Nietrudno cię przejrzeć, Daisy. Wsiadł za kierownicę, wycofał wóz z miejsca parkingowego i wyjechali na ulicę.

- No? - rzucił.

Spojrzała na niego tak, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Samochód to grunt neutralny. Możesz mówić. Uniosła rękę, zawahała się i opuściła ją z powrotem na kolana.

- No dobrze, niech ci będzie! - powiedziała. - Nie mogę zostać twoją żoną.

- Nie możesz, czy nie chcesz?

- Chyba na jedno wychodzi, prawda?

Milczał. Na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań, uznał jednak, że milczeniem więcej zwojuje.

- Powodów jest tyle, że nie wiem, od czego zacząć - odezwała się w końcu. - Chyba zacznę od uczciwości.

- Od uczciwości? - Dotknął jej policzka i przesunął palcem po linii podbródka.

Odsunęła się.

- Tak, uczciwości w życiu. W czynach, nie w słowach. Sam mówiłeś, że oszukiwałeś Gillian, udając, że ją kochasz. Nasłuchałam się o miłości od twojej matki, obserwuję przyjaciółki, i kiedy wyobrażam sobie nas na towarzyskich albo rodzinnych spotkaniach, wiem, że będę tam widziała wokół siebie autentyczne szczęście, podczas gdy nasze będzie fałszywe.

- Chwileczkę!

Byli już pod przychodnią. Julian wprowadził wóz na opustoszały parking, zgasił silnik i odwrócił się do Daisy.

-Dopuszczasz do głosu emocje, zamiast myśleć racjonalnie. Kto powiedział, że nie będziemy autentycznie szczęśliwi? - protestował. - Na tym polega cała idea: będziemy mieli dziecko, którego oboje pragniemy, a ono dwoje rodziców zamiast jednego. Myślisz, że małżeństwo ze mną cię unieszczęśliwi, Daisy? Do tego stopnia, że będziesz musiała udawać?

Dostrzegła w jego oczach tłumiony gniew.

Wiedziała, że małżeństwo z Julianem z jednej strony mogłoby ją uczynić nad wyraz szczęśliwą, z drugiej, co bardziej prawdopodobne, okazać się kompletną katastrofą, nie zamierzała mu jednak tego teraz mówić.

- Szczęście to niewłaściwe słowo - powiedziała. - Wydawało mi się tylko, że używając go, łatwiej wyjaśnię ci motywy, które mną kierują.

- A jakie jest to właściwe słowo, Daisy? - spytał.

- Miłość! - mruknęła, a potem zła, że to z niej wyduślił, spojrzała mu głęboko w oczy. - No, powiedziałam to. Gdybyśmy się pobrali, wszyscy, na których mi zależy, wszystkie moje przyjaciółki i cała twoja rodzina, zakładaliby, że pobieramy się z miłością a to by nie była prawda i nie sądzę, że dobrze bym się z tym czuła. Zwłaszcza że miałabym za męża człowieka, który nie wierzy nawet w istnienie miłości i wszystkie swoje dotychczasowe związki postrzega tylko jako igraszki hormonów! Jesteś inteligentną, zaprogramowaną maszyną, Julianie. Robotem, nie człowiekiem.



Otworzyła z rozmachem drzwi samochodu, wysiadła i pomaszerowała przez parking w stronę głównego wejścia do niskiego pawilonu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Julian ma pewnie klucz do wejścia dla personelu, które znajduje się na tyłach budynku.

Obejrzała się przez ramię, żeby podpatrzeć, do którego z tych wejść się kieruje.

Nie kierował się do żadnego!

Siedział dalej w samochodzie z łokciem wystawionym przez otwarte okno i podpierał dłonią brodę. Zatrzymała się, odwróciła i spróbowała zanalizować tę pozę.

Czyżby wyrażała ulgę?

Pogodzenie się z odmową?

Miała taką nadzieję, bo nie uśmiechało jej się wcale wyjawiać mu innego, o wiele ważniejszego powodu odrzucenia jego propozycji, a był nim lęk przed powtórzeniem się scenariusza, według którego układały się wszystkie jej dotychczasowe związki: poznanie się, zauroczenie, pożądanie, miłość, katastrofa. Miała jeszcze w pamięci zdradę Glena, ostatniego swojego partnera.

Julian wysiadł wreszcie z samochodu, zatrzasnął drzwi, zamknął je na klucz i wskazał palcem na wejście dla personelu.

- Numer, o który ci chodzi, znajdziemy chyba w aktach przechowywanych w głównym gabinecie - oznajmił, dogoniwszy ją. Ktoś niezorientowany, patrząc teraz na niego, za nic by nie odgadł, że dostał przed chwilą kosza.

Z drugiej strony, czym miałyby się przejmować?

Był przystojnym, dobrze sytuowanym i nad wyraz

sympatycznym mężczyzną. Kobiet, które z pocałowaniem ręki zgodziłyby się za niego wyjść - i to bez stawiania żadnych wstępnych warunków! - były tysiące, jeśli nie miliony.

- Tak myślę - burknęła. Dotknął lekko jej ramienia.

- Nie bocz się - poprosił cicho. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Próbował nazwać to, co teraz czuje. Złość. Jak śmiała nazwać go maszyną?

Ale również zawód. On chce dziecka, ona chce dziecka, razem pracują. Trudno sobie wyobrazić bardziej idealną sytuację. Ale pod tym zawodem było coś jeszcze.

Niedowierzenie?

Dlaczego niedowierzenie?

Swoim analitycznym umysłem przebiegł szybko fragmenty mózgu zarządzające tym wszystkim, czego nie da się zmierzyć ani policzyć - na przykład emocjami.

Lecz ten proces nie przyniósł odpowiedzi na pytanie, dlaczego miałby się czuć rozczarowany.

Przypomniał sobie, że już w piątek wiedział, że Daisy zamierza mu odmówić, ale i to nie pomogło. Gniew przeszedł w irytację, kiedy rozważał miniony tydzień.

Cholera z tą kobietą!

Zapominając o książce zapisów i kartach pacjentów, wszedł do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem. Ale wystarczył tydzień pracy z Daisy, żeby jej duch zainstalował się na dobre w tym pomieszczeniu, i widział ją teraz w fotelu naprzeciwko siebie - wyglądała tak jak w ostatni wtorek, kiedy rozmawiali o dziecku, co do któ-

rego zachodziło podejrzenie, że jest wykorzystywane seksualnie.

Przypomniał sobie jej naładowany emocjami głos, kiedy mówiła, że wszyscy są odpowiedzialni za bezpieczeństwo dzieci, i wreszcie zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc o udawaniu. Choć znali się dopiero od dziesięciu dni, zdążył już zauważyć, że Daisy wkłada całe serce we wszystko, co robi. Udawanie jest dla niej obcym pojęciem:

Czyli nie potrafiłaby udawać, że go kocha? O to jej chodziło? Ta myśl sprawiła, że poczuł się zimnym, starym draniem i niewygodnie mu się zrobiło w tym nowym wcieleniu - tak niewygodnie, że poruszył ramionami, by poprawić na sobie skórę.

Pojawił się również dziwny ucisk w dołku, ale może to tylko jakiś rozwijający się wrzód żołądka.

No dobrze, wie już, że Daisy nie potrafiłaby udawać, ale skąd u niej ta pewność, że nigdy by się w nim nie zakochała? Czego mu brakuje?

On nie miał wątpliwości, że Daisy należy do osób, które potrafiłby pokochać.

A może ona kocha nadal swojego ostatniego partnera?

Za wiele pytań naraz.

Julian wstał i wyszedł do rejestracji. Daisy rozmawiała przez telefon, ale z podziękowań, które wypowiedziała do słuchawki, wynikało, że rozmowa dobiega końca.

Czekał, udając, że przegląda książkę zapisów, a kiedy wreszcie się rozłączyła, odezwał się: - Lunchu raczej ze mną nie zjesz.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- A co?

Uśmiechnął się.

- Chciałbym porozmawiać.

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł - powiedziała cicho i wyczuł w jej głosie napięcie. - Zresztą wracam do szpitala. Chcę przedstawić Watsonom pewną kobietę ze Stowarzyszenia Noonana. Przejdę się piechotą. Przyda mi się spacer.

Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko wziąć pod pachę książkę zapisów, odszukać karty poniedziałkowych i wtorkowych pacjentów i wycofać się z nimi do gabinetu.

Ale nie mógł się skupić. Między jego oczami a literami unosiła się niczym odcieleśniony duch błada twarz Daisy o wielkich oczach.

I tak było od tej pory codziennie. Z tym że równie często, co jej duch, objawiała mu się realna Daisy.

Denerwowało go, że zachowywała się tak, jakby nigdy do niczego między nimi nie doszło. Im częściej jednak widywał tę realną Daisy, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to kobieta wprost stworzona dla niego. I to prowadziło do jeszcze większej frustracji - on, człowiek z ilorazem inteligencji geniusza, narobił tyle głupstw, że ona go teraz nie chce.

Rozległo się pukanie, drzwi uchyliły się i ta, o której właśnie myślał, wsunęła głowę do gabinetu.

-Będę ci potrzebna na tym dzisiejszym spotkaniu informacyjnym z rodzicami?

Omali nie zazgrzytał zębami, słysząc trzy pierwsze słowa.

-Na jakim spotkaniu informacyjnym? -- spytał z roz-targnieniem.

- Z rodzicami dzieci specjalnej troski - uściśliła. -  
Sam ich tutaj zaprosiłeś.

- Na dzisiaj?

- Na ósmą - powiedziała w miarę spokojnie, ale w jej oczach pojawiła się teraz podejrzliwość.

Spojrzał na nią wilkiem. Wyraźnie czekała na odpowiedź.

Iloraz inteligencji geniusza, a nie pamięta pytania, które przed chwilą padło.

- To będę ci potrzebna dziś wieczorem? Ta znowu swoje!

- Tak - warknął.

- Dobrze. W takim razie przyjdę wcześniej i przygotuję salę. Lukę Watson też chyba będzie. Sherry wróciła już do domu, ale przychodzi codziennie do szpitala karmić Isobel piersią.

Wyszła, a on dalej patrzył na miejsce, gdzie przed chwilą stała, ale tym razem ducha tam nie było, widział tylko drzwi.

Daisy odetchnęła głęboko. Starła się jak mogła schodzić mu z drogi, ale nie było to takie proste. Na przykład, kiedy wysyłała mu e-mailem jakieś pytanie, on po chwili zjawiał się w jej gabinecie, by osobiście na nie odpowiedzieć; kiedy wymykała się z penthouse'u, gdzie wciąż pomagała Dianie przy bliźniakach, zanim wrócił z pracy, on pukał do niej jakiś czas potem z jakąś wiadomością od matki.

Gdyby to nie był Julian, zaczęłyby podejrzewać, że za nią chodzi, ale on przyjął przecież jej odmowę bez komentarzy i nie widać było po nim, by się specjalnie

przejął. A więc pewnie tylko wyobrażała sobie, że ją prześladowuje.

Wracła do domu szczęśliwa, że dzisiaj „dyżur przy bliźniakach” wypadł Gabi. Będzie się mogła wykapać, umyć włosy, odpocząć, zanim...

Znowu westchnęła.

Zanim przywdzieje z powrotem na twarz maskę bez troski, żeby nie dać satysfakcji Julianowi Austinowi?

Ogarnęło ją poczucie winy, gdy pomyślała o rodzicach, którzy przyjdą na spotkanie i trudnościach, z jakimi się borykają. Może im naprawdę pomóc, a więc musi zapomnieć o Julianie i zachowywać się jak na profesjonalistkę przystało.

Z tym postanowieniem wspięła się na swoje piętro na piechotę, zamiast wjechać na nie windą. Kiedy wkładała klucz do zamka, w mieszkaniu zadzwonił telefon.

Otworzyła szybko drzwi, podbiegła do aparatu i podniosła słuchawkę.

- Daisy? To ja, Glen.

Zmartwiała.

-Glen?

Chwała Bogu, że nie spytała: „Jaki Glen”?

- Ja w sprawie twojej matki. Miała zawał. Poważny. Przetransportowano ją z wybrzeża do Royal Westside. Pomyślałem sobie, że powinnaś o tym wiedzieć.

Pod Daisy nogi się ugięły. Przyciskając słuchawkę do ucha, opadła ciężko na kanapę. Glen milczał. Chyba czekał, aż ona coś powie.

- Będę tam za dziesięć minut - wykrztusiła i usłyszała w słuchawce coś jakby westchnienie ulgi.

Wciąż oszołomiona wstała, przewiesiła przez ramię torebkę, wzięła klucze i wyszła z mieszkania.

Glena zastała w poczekalni. Podniósł na nią wzrok, ale nadzieja w jego oczach zgasła, gdy stwierdził, że to ona.

- Nie miałem pewności, czy zechcesz przyjść - powiedział, potrząsając głową.

Daisy usiadła obok niego.

- Jak mogłabym nie przyjść... Wiesz już coś?

- Kazali mi czekać - odparł. - Co oni tam tak długo robią? Dlaczego nie pozwalają mi do niej wejść?

Słyszac cierpienie w jego głosie, Daisy uświadomiła sobie, że Glen wciąż kocha jej matkę.

- Wyjdą do nas, jak tylko będą mieli nam coś konkretnego do zakomunikowania - wyjaśniła łagodnie, starając się przypomnieć sobie wszystko, co wie o zawałach. - Teraz chyba najważniejsze to ustabilizować jej ciśnienie. Ból podczas zawału bierze się stąd, że serce otrzymuje za mało tlenu, ale ból utrudnia oddychanie, przez co serce dostaje jeszcze mniej tlenu, próbuje pracować intensywniej i ból narasta. To błędne koło. Lekarze podają na początek środek przeciwbólowy i dostarczają do serca dodatkowy tlen, a potem starają się ograniczyć spustoszenia powstające w mięśniu sercowym, bo mięsień sercowy nie regeneruje się.

- Mów, mów, to pomaga - mruknął Glen i Daisy znowu musiała wysilić pamięć.

- Problem w tym, że nitrogliceryna i morfina stosowane tradycyjnie do eliminowania bólu i obniżenia ciśnienia krwi rozszerzają naczynia krwionośne w całym

ciele, a nie tylko w okolicach serca. Jeśli ciśnienie krwi za bardzo spadnie i mózg nie dostaje wystarczającej ilości tlenu, to wpada w panikę, co może doprowadzić do kolejnego zawału. Glen jęknął.

Dlatego monitoruje się na bieżąco stan pacjenta oraz reakcje organizmu na podane leki. Dopóki występują fluktuacje, dopóki jej ciśnienie krwi się nie ustabilizuje, lepiej żeby byli przy niej specjaliści, nie rodzina.

- Ja bym tam nie przeszkadzał - mruknął Glen.

- Wpuszczą cię, jak tylko będzie to możliwe - zapewniła go.

-Tak też myślę, ale jak długo to jeszcze potrwa? Tego nie wiedziała, ale domyślała się, że im dłużej trwa stabilizowanie pacjenta, tym większe ryzyko, że sprawa jest poważna i istnieje zagrożenie całkowitego zatrzymania akcji serca.

Na samą tę myśl przeszedł ją dreszcz. Ukryła twarz w dłoniach i modliła się, by do tego nie doszło.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dopiero po godzinie pojawiła się pielęgniarka i powiedziała Glenowi, że może wejść do żony.

- Ale tylko na pięć minut - zastrzegła, wprowadzając go do sali. - Trudno stwierdzić, czy ona pana słyszy, ale proszę do niej mówić. Uważamy, że to pomaga.

Daisy, która weszła do sali za Glenem, ledwie poznała leżącą nieruchomo matkę. Glen wziął ją za rękę i zaczął coś mówić. Daisy serce się ścisnęło na widok mieszaniny miłości i bezradności malujących się na jego twarzy.

O dziesiątej specjalista oznajmił im, że bezpośrednie zagrożenie życia minęło i pani Carlton zasnęła. Daisy zaproponowała Glenowi, by poszedł do jej mieszkania i też się przespał.

- Ja tu zostanę i zadzwonię do ciebie, gdyby zaszła jakaś zmiana. Ode mnie do szpitala masz dziesięć minut drogi piechotą - zapewniła go.

- Wolę tutaj posiedzieć - zaprotestował głosem schrypniętym ze zmęczenia.

- Nie ma mowy! Jeśli się nie prześpisz, jutro będziesz do niczego, a o ile znam mamę, obudzi się z samego rana, domagając się, żeby wszyscy dookoła niej skakali.

Zapisała Glenowi na karteczce swój adres i wyjaśniła, jak tam dotrzeć.

- Ale zadzwonisz w razie czego? - upewnił się, kiedy odprowadzała go do windy.

- Przecież powiedziałam. A zanim tu jutro wrócisz, weź prysznic i przegryź coś. To będzie dla ciebie kolejny trudny dzień.

Odprowadzała go wzrokiem i wyobrażała sobie, jak wchodzi do jej mieszkania, do którego się przeprowadziła, kiedy ze sobą zerwali, i zrobiło jej się go żali

W połowie spotkania z rodzicami Julianowi przeszła złość na Daisy - jak śmiała się nie pojawić, skoro wyraźnie jej powiedział, że będzie mu potrzebna! - i zastąpił ją niepokój.

To jest do niej niepodobne. Kto jak kto, ale ona by czegoś takiego nie zrobiła.

Zastawszy salę nieprzygotowaną, zadzwonił do niej do domu, ale nikt nie odbierał, a automatycznej sekretarki, na której mógłby nagrać wiadomość, nie miała.

Przetrwał dyskusję, przetrwał zadawane z sali pytania - został nawet kilka minut po spotkaniu, żeby porozmawiać z Lukiem Watsonem. Ale ledwie salę opuściła ostatnia osoba, powyłaczał wszystko, pogasił światła, zamknął przychodnię i popędził na złamanie karku do domu.

Hałasy dolatujące z baru Mickeya sugerowały, że odbywa się tam jakieś przyjęcie, ale nawet nie zajrzał do środka. Biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodach na drugie piętro.

Bębniąc pięścią w drzwi, zastanawiał się, co zrobi, jeśli Daisy mu nie otworzy.

Nie otwierała, zapukał więc jeszcze raz. I tym razem wydało mu się, że usłyszał w środku jakieś szuranie.

Drzwi otworzyły się i zamiast Daisy, którą spodziewał się zobaczyć, stanął w nich jakiś obcy facet. Nagi, jeśli nie liczyć kąpielowego ręcznika, którym był owinięty w pasie.

- Jestem Glen - wyjaśnił. - Daisy jest w szpitalu. Jej matka miała zawał. - I zatrzęsnął oniemiałemu Julianowi drzwi przed nosem.

Glen. Słyszał już gdzieś to imię. To chyba ostatni chłopak Daisy. Co robi w jej mieszkaniu? I to nago? Przecież ze sobą zerwali!

Wychodzi na to, że do niego pierwszego się zwróciła, kiedy matkę zabrano do szpitala i kogoś potrzebowała. I ona miała czelność robić mu wykłady o udawaniu!

Wzburzony cofnął się od drzwi i potrząsnął głową. Nie potrafił nazwać emocji, która nim teraz miotła.

Wściekłość?

Zazdrość?

Nie, to nie to.

Krażył jakiś czas po foyer, zastanawiając się, co ma teraz począć. Potem wjechał na górę do penthouse'u, zabrał z przedpokoju telefon i zaszył się z nim w kuchni, żeby zadzwonić do szpitala, nie budząc domowników. Ale w Royal Westside nie było pacjentki nazwiskiem Rutherford.

Zaczął szukać w książce telefonicznej numerów prywatnych szpitali. Obdzwonił wszystkie, bez rezultatu.

Coś mu się znowu przypomniało. Słyszał to chyba w ten naleśnikowy poranek. Tak czy inaczej, Daisy powiedziała; „Moja matka zmieniała mężczyzn jak rękawiczki”. Jeśli wyszła za któregoś z nich za męża, to już

nie jest panią Rutherford. Tyle wysiłku włożył w jej odszukanie, i wszystko na marne.

Zajęczał z frustracji.

Ale zbliżała się północ i zdając sobie sprawę, że nie już nie załatwi, położył się z ciężkim sercem do łóżka. Zasnąć jednak nie mógł, bo przed oczami latał mu duch Daisy, a z pragnienia bycia blisko niej łamało go w kościach.

O piątej rano dał za wygraną i wstał. Starając się zachowywać jak najciszej, by nie zbudzić rodziców albo bliźniaków, wziął szybki prysznic, ubrał się i wyszedł z mieszkania.

Pojedzie do szpitala odwiedzić Isobel i tego drugiego noworodka, który był jego pacjentem.

A przy okazji zajrzy na kardiologię Royal Westside.

Jakaż ogromna ulga spłynęła na Juliana, kiedy w poczekalni oddziału kardiologicznego zobaczył Daisy, ale tę ulgę wyparł szybko znajomy już ucisk w dołku, kiedy w mężczyźnie siedzącym również w poczekalni rozpoznał Glena.

Glen trzymał Daisy za rękę i ją pocieszał.

Julian stał w progu i nie wiedział, co dalej. Wolał się nie odzywać, bo nie ufał swojemu głosowi.

Para z poczekalni była tak zajęta sobą, że nawet go nie zauważyła. Ale zaraz! Czy wzrok go myli, czy to Daisy pociesza Glena, a nie on ją?

Julian wyteżył słuch. Wiedział, że nie wypada podsłuchiwać czyichś rozmów, ale to było silniejsze od niego.

- Tak ją kocham, nie wiem, co bym zrobił, gdyby

ona z tego nie wyszła - mówił Glen. Siedział zgarbiony, ze zwieszoną głową, głos miał zdławiony. - Wiem, że zrobiliśmy ci rzecz straszną, Daisy, ale na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że to nie było planowane. Po prostu stało się i już.

Julian nie wierzył własnym uszom.

Daisy mówiła mu, że nie miała szczęścia w miłości, ale żeby coś takiego? Mężczyzna, którego kochała i myślała, że z wzajemnością, zdradził ją z jej własną matką...

A ona wciąż wierzy w miłość.

Wierzy w jej istnienie.

Patrzył na nią, jak nachyla się do tego nic niewartego gluta ektoplazmy, który tak głęboko ją zranił, i pociesza go.

- Daisy? - powiedział cicho, wkraczając wreszcie do poczekalni.

Podniosła na niego wzrok i ściągnęła brwi.

- Julian?

Uniosła się z krzesła i zachwiała się. Podtrzymał ją.

- Co ty tu robisz? Coś się stało?, Z Isobel?

Uśmiechnął się. Bez względu na sytuację ona zawsze myśli najpierw o innych.

- Nie, z nią wszystko w porządku. Martwiłem się tylko o ciebie, kiedy nie pojawiłaś się wczoraj na spotkaniu.

- Ojej, spotkanie!

Poderwała dłoń do ust. Podniosła na niego oczy.

- Przepraszam, Julianie. Powinam była zadzwonić. Moja matka...

- Wiem - przerwał jej łagodnie. - Byłem u ciebie wczoraj wieczorem. Glen mi powiedział. Dlatego tu jestem.

Odsunęła się od niego, uniosła głowę i znowu spojrzęła mu w oczy, ściągając tym razem brwi.

- Dlatego tu jesteś? - powtórzyła zdziwiona.

- Chciałem sprawdzić, czy nie mogę się na coś przydać - powiedział. - Jadłeś coś? Może ci coś przynieść? Albo jeszcze lepiej zejdz ze mną do stołówki.

W jej oczach pojawiło się zainteresowanie, kuł więc żelazo póki gorące.

- Mała zmiana otoczenia dobrze ci zrobi.

Uśmiechnęła się niewyraźnie, ale jemu na widok tego uśmiechu i tak serce urosło.

- Przekonałeś mnie - zdecydowała. - Powiem tylko Glenowi.

Wskazała ruchem głowy na przygarbionego mężczyznę siedzącego na krześle pod ścianą małej salki.

- Przedstawiam ci Glena, męża mojej matki. A więc dobrze się domyślał.

- Glen, to mój przyjaciel, Julian Austin. Mężczyzna popatrzył tępo na Juliana i kiwnął głową.

- Wracam za piętnaście minut - powiedziała Daisy do Glena. - Przynieść ci coś ze stołówki?

Nawet na nią nie spojrzęł. Pokręcił tylko głową i ścisnąjąc kolanami złożone jak do modlitwy dłonie, jeszcze bardziej się przygarbił. Można by pomyśleć, że liczy cętki na linoleum pokrywającym podłogę.

- Taki jest załamany, musi naprawdę ją kochać - rzekła Daisy, kiedy wyszli z poczekalni.

Najwyraźniej współczuje temu szczerowi, pomyślał Julian. Ale to jest cała Daisy, ufna i nie chowająca urazy. Zamiast do stołówki, skręcili do kafejki.

-Kawy pewnie się już w nocy opilaś, ale co byś powiedziała na filiżankę herbaty i pasztecika? - spytał Julian.

Spojrzała na niego z uśmiechem, a jemu się wydało, że świat wokół rozmył się i ostro widzi tylko tę zmęczoną, bladą, ciemnowłosą kobietę o podkrążonych, srebrzysto zielonych oczach. I patrząc tak na nią, znowu poczuł, jak serce mu rośnie.

- Usiądź tutaj, zaraz wszystko przyniosę - obiecał, sadzając ją na krzesło. Wrócił po chwili z tacą zastawioną talerzykami i filiżankami. - Jak się czujesz? - spytał.

-Dobrze - odparła - tylko wspomnienia trochę mnie przygnębiły. Ale szkoda czasu na rozpamiętywanie dawnych błędów. Nie da się zmienić przeszłości, ale można z niej wyciągać wnioski na przyszłość.

Wzięła głęboki oddech i dorzuciła:

- Módlmy się, żeby dla niej była jakaś przyszłość.

- Będzie - zapewnił ją. - Myśl pozytywnie.

- Staralam się, ale nad ranem dostała drugiego zawału, i już nie potrafię - przyznała ponuro. - Wysłałam Glena do mojego mieszkania, żeby się przespał, ale musiałam go wezwać telefonicznie z powrotem i teraz znowu czekamy.

Ścisnął delikatnie jej dłoń.

Daisy cofnęła rękę, ale podziękowała mu uśmiechem i studiowała zmianę, jaka zaszła na twarzy Juliana.

- Masz, kupiłem ci pasztecika. Musisz coś zjeść. Podsunął jej talerzyk.

Zjadła ćwierć pasztecika, bo tak nalegał, i oznajmiła, że musi już wracać. Z jednej strony chciała być blisko

matki, z drugiej uwolnić się od towarzystwa Juliana. Kiedy był taki jak teraz, taki czuły i opiekuńczy, zaczęła żałować, że nie przyjęła jego propozycji.

Odprowadził ją do poczekalni. Kiedy tam wchodzili, pielęgniarka mówiła właśnie Glenowi, że może odwiedzić żonę.

- Jest stabilna, ale pod wpływem środków uspokajających. Wiele przeszła.

Glen wybiegł z poczekalni, a Daisy opadła na krzeselko.

- On ją jednak bardzo kocha - powiedziała - i to chyba nie ich wina, że się w sobie zakochali. Widocznie tak było zapisane w gwiazdach.

Spojrzała na Juliana.

- Ale teraz pewnie rozumiesz, dlaczego nie powinniśmy się pobierać, dlaczego małżeństwo z rozsądku nie jest wcale takim dobrym rozwiązaniem? Glen i ja byliśmy przekonani, że się kochamy, a potem on stracił głowę, dosłownie stracił, dla kogoś innego. Ty mnie nie kochasz i nie miałbyś żadnych hamulców, gdybyś kiedyś poznał kobietę, w której, pomimo swojej niewiary w miłość, byś się zakochał.

Julian wiedział, że powinien być już w drodze do pracy, ale siedział nadal obok niej.

- Posłuchaj - zaczął cicho. - Gdybyś zmieniła zdanie i zgodziła się za mnie wyjść, to gwarantuję ci, że nie musiałabyś się obawiać, że kiedykolwiek cię porzucę.

Nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

- Nawet za milion lat, i nie byłyby mnie w stanie do tego zmusić żadne zapisy w gwiazdach. Rozumiesz?



Oczy Daisy pojaśniały, i odniósł wrażenie, że bardzo chciałyby uwierzyć w to, co przed chwilą jej powiedział. Potem potrząsnęła głową.

- Spóźnisz się do pracy - ostrzegła go.

Uśmiechnął się i znowu ją pocałował.

- Praktyczna Daisy - zażartował, ale wstał. - Dzwoń do mnie, gdybym był ci do czegoś potrzebny.

Uśmiechnęła się blado i Julian zabrał ten uśmiech ze sobą, wychodząc z poczekalni.

Patrzyła za nim z ciężkim sercem, bo wiedziała, że przywiodła go tu wrodzona uprzejmość, a nie miłość.

Wrócił Glen.

- Chyba już z nią lepiej. Poznała mnie nawet, ale lekarz mówi, że minie jeszcze sporo czasu, zanim dojdzie całkiem do siebie. A skoro nie pozwalają pobyc przy niej dłużej niż pięć minut na godzinę...

Urwał, opadł na krzesło, ale Daisy domyśliła się, czego nie dopowiedział. Chciał zarekwirować wszystkie te pięciominutowe odwiedziny dla siebie.

- Ty jesteś jej bardziej potrzebny niż ja - oświadczyła. - Chyba pójdę do domu i się prześpię. Masz mój numer. Zadzwoń, gdyby coś się wydarzyło, i pozdrów ją ode mnie. Koniecznie!

Podniósł na nią wzrok i kiwnął głową.

- Pozdrowię - obiecał. - I dziękuję.

Wychodząc, zatrzymała się na chwilę pod salą matki i zajrzała przez szybę.

- Och, mamó! - szepnęła, patrząc na nieruchomą postać.

Obudziła się o trzeciej po południu z ciężką głową, zupełnie rozbita. Wzięła prysznic i umyła włosy, ale nawet to nie wpłynęło korzystnie na jej samopoczucie.

Zadzwoiła do szpitala. Stan matki się poprawiał. Odwiedziny przedłużono do dziesięciu minut co godzinę i była teraz u niej pani Carlton.

Daisy zrobiła sobie kawę i włączyła komputer. Już od kilku dni nie zaglądała do swojej skrzynki pocztowej ani na stronę internetową.

Tak jak się spodziewała, skrzynka z pytaniami była pełna. Wywołała na ekran pierwsze z brzegu. Nadawca podpisujący się pseudonimem „Jedno Pytanie” chciał wiedzieć, po czym można poznać, że jest się zakochanym.

Wpatrywała się w ekran, zastanawiając się, co mu odpowiedzieć, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Pomyślałam sobie, że może jesteś w domu - rzekła z uśmiechem Alana. - Słyszałam o twojej matce. Julian powiedział Dianie, Diana Gabi, a Gabi mnie. Tak mi przykro. Jak ona się czuje?

- Leży jeszcze na intensywnej terapii, ale jej stan się powoli poprawia. Wybieram się do niej dzisiaj.

- I dlatego wpadłam - wyjaśniła Alana. - Pomyślałam, że przyda ci się trochę towarzystwa, zanim tam wrócisz. Chodźmy do kafejki.

Daisy wyłączyła komputer, zabrała z wieszaka kurtkę i zeszła z Alaną po schodach, ponieważ Alana dbała o kondycję i rzadko korzystała z windy.

- Po czym się poznaje, że jest się zakochanym? - spytała Daisy, kiedy mijały podest pierwszego piętra.

Alana obejrzała się i uśmiechnęła znacząco.

- Nie pytam w swoim imieniu - dodała szybko Daisy. - Do licha, byłam tyle razy zakochana, że powinienam to wiedzieć, ale za każdym razem okazywało się, że to pomyłka, nie mogę więc polegać na własnym zdaniu i chciałabym usłyszeć, co myślą o tym inni, Zadał mi to pytanie klient internetowy. Nie wiem, czy to on, czy ona, bo posługuje się pseudonimem „Jedno Pytanie”.

- Och, ta twoja strona internetowa! Ale przecież słyszałam, jak odpowiadałaś na to samo pytanie w radiu.

- W radiu plecie się, co ślina na język przyniesie - odparła Daisy. Były już w foyer. - Ludzie po dwóch sekundach zapominają, co słyszeli. Jestem tego pewna, bo te same osoby tydzień w tydzień pytały mnie o to samo. Natomiast na stronie internetowej udziela się odpowiedzi na piśmie, a słowo pisane bardziej zapada w pamięć. Klienci mogą też sobie drukować moje odpowiedzi i wytykać mi potem błędy, jeśli się w czymś pomyłę. Mają je czarno na białym.

Weszły do kafejki, zamówiły kawę i Daisy ponowiła pytanie:

- Skąd wiedziałas, że kochasz Rory'ego?  
Alana zastanowiła się.

- Nie wiem, skąd wiedziałam - odparła po przerwie tak długiej, że Daisy zaczęła się obawiać, że nie usłyszy odpowiedzi. - Po prostu wiedziałam.

A potem uśmiechnęła się.

- No wiesz, miałam wszystkie fizyczne objawy, kołana jak z waty, palpacje, uderzenia krwi do głowy, ale składałam to wszystko na karb pożądania. A potem przejmowałam się razem z nim, kiedy myślał, że mogą

mu odebrać Jasona...

Przejmowanie się sprawami kochanej osoby. Wsta-  
wię to. Myślisz, że powinnam napisać JP o tych kola-  
nach jak z waty i palpitacjach? Ja też składam to na  
karb pożądania.

- To bardziej pociąg fizyczny niż pożądanie, a po-  
ciąg fizyczny jak najbardziej wchodzi w grę. Najpierw  
jest pociąg, a potem, w miarę jak coraz lepiej poznajesz  
osobę, która cię pociąga, zaczyna stopniowo kiełkować  
miłość.

- Nad czym tak debatujecie? Mogę się włączyć do  
dyskusji?

Nad stolikiem stał Rory.

- No to będziesz zaraz miała męski punkt widzenia -  
zauważyła wesoło Alana, kiedy Rory odszedł zamówić  
sobie kawę, i przesiadła się, robiąc mu miejsce między  
nimi.

- Na co? - spytał wracający Rory.

- Na miłość - oznajmiła Alana, uśmiechając się pro-  
miennie do swojego nowo poślubionego męża. - Daisy  
ma na swojej stronie internetowej kogoś, kto chce wie-  
dzieć, po czym się poznaje, że się jest zakochanym, nie  
wiemy tylko, czy to „on”, czy „ona”. Jeśli „ona”, to od-  
powiedź jakoś wysmażymy, ale jeśli... jaki ma pseudo-  
nim, Daisy?

„Jedno Pytanie”.

Właśnie - podjęła Alana. - Jeśli się okaże, że „Jedno  
Pytanie” to facet, to przydałoby się mu to wyjaśnić z  
męskiego punktu widzenia.

Rory minę miał trochę niewyraźną, ale mieszkał w ich budynku dostatecznie długo, by przywyknąć do tego rodzaju dziwaczych konwersacji.

- No więc po czym poznałeś, że jesteś we mnie za kochany? - spytała Alana, uśmiechając się, bo wiedziała, że wprawi go tym pytaniem w zakłopotanie.

Ale Rory, zamiast się spieszyć, spojrział pogodnie na Daisy.

- To nie stało się tak z dnia na dzień, chociaż licho wie, od samego początku tak mnie pociągała fizycznie, że aż dziw, że z miejsca się na nią nie rzuciłem. Ale po drodze były pewne komplikacje, ona zachowywała się tak, jakby mnie szczerze nienawidziła, a kiedy wreszcie odkryłem, że ja też ją pociągam, ty weszłaś nam w paradę, mówiąc jej, że jeśli pójdziemy na całość, to damy zły przykład Jasonowi i spaczymy mu na całe życie charakter.

Urwał, upił łyczek kawy i oczy zaszyły mu mgiełką wspomnień.

- Potem, któregoś wieczoru, Jason wybierał się na prywatkę i wylał sobie na głowę jakiś specyfik Alany, i wpadł w szal, bo ubzdurało mu się, że wszystkie własy mu od tego powypadają. A ona tak go wtedy szybko udobruchała, i zrobiła to z takim taktem, że już wiedziałem, że chcę z nią spędzić resztę życia. To było tak, jakby ktoś zapalił na niebie wielki reflektor i skierował go na to, co niby do tej pory widziałem, a tak jakbym nie widział. Tak mnie wzięło, że wybiegłem chyba od niej, wparowałem do ciebie i zasypałem cię jakimiś idiotycznymi pytaniami o Jasona i edukację seksualną.

- Pamiętam tamten wieczór - rzekła Daisy, ściągając brwi. - Muszę przyznać, że nie wyglądałeś mi na zakochanego. Już bardziej na kogoś, na kim przed chwilą usiadł słoń. Wystraszony, zamroczony, z obłędem w oku i gadający od rzeczy.

Rory roześmiał się.

- Dokładnie tak się wtedy czułem.

- No to mamy już odpowiedź dla „Jednego Pytania” - zachichotała Alana. - Napisz temu komuś, że jeśli kiedykolwiek poczuje się tak, jakby przed chwilą słoń na nim usiadł, to może być pewien, że się zakochał.

RRS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po powrocie do szpitala Daisy pierwsze kroki skierowała na oddział kardiochirurgii. Z duszą na ramieniu zajrzała przez szybę do sali matki i ze zdumieniem stwierdziła, że ta siedzi na łóżku żywa, przytomna, i uśmiecha się do Glena, który przycupnął obok na stoleczku i wpatruje się w nią jak w obrazek.

Matka zobaczyła ją i dała ręką znak, by weszła.

- Witaj, kochanie! Glen mi powiedział, że czuwałaś tu przez całą noc.

Siliła się na bez troski ton, ale Daisy słyszała w jej głosie zmęczenie i stres.

Podeszła i pocałowała matkę w policzek.

- Musisz teraz dużo odpoczywać i dbać o siebie.

Matka pogładziła ją po włosach.

- Zadbam, zadbam - obiecała. - Kiedy słyszę, że troszczysz się o mnie jak dawniej, od razu lepiej się czuję.

Weszła pielęgniarka i widząc, że jej pacjentka ma dwoje gości, skrzywiła się.

- Jedna osoba naraz i ograniczony czas wizyty. Pacjentka potrzebuje teraz odpoczynku, a nie towarzystwa.

Glen wstał, ale Daisy dała mu znak, żeby został.

- Będziemy miały z mamą mnóstwo czasu na nadrobienie zaległości, kiedy wyjdzie ze szpitala. Teraz już

się z nią zobaczyłam i muszę lecieć do pracy. Możesz się u mnie zatrzymać, Glen. Podrzucę ci później klucz, żebyś mógł wchodzić i wychodzić, kiedy zechcesz.

Ze szpitala pojechała do przychodni, chociaż wiedziała, że wszyscy szykują się tam już do wyjścia do domu. Musiała się jednak dowiedzieć, na jakie terminy przepisano pacjentów, których dzisiaj nie przyjęła.

Na korytarzu spotkała Juliana.

- Jak się czuje twoja matka? - spytał z niepokojem.

- Właśnie od niej wracam. Jest już przytomna, rozmawiałam z nią chwilę. Lekarze mówią, że teraz nic już jej nie zagraża, ale czeka ją długa rekonwalescencja.

- No to się cieszę - powiedział Julian i położył jej dłoń na ramieniu.

Łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach. Chciała się cofnąć, ale przytrzymał ją i objął.

- Och, Daisy - wymruczał, tuląc ją w objęciach.

Przód koszuli wilgotniał mu od jej łez. Wyjął chusteczkę i otarł jej twarz. Patrząc w te zaczerwienione oczy, po raz pierwszy pomyślał, że ból miłości może być porównywalny z bólem owrzonego żołądka.

- Ten Glen, to twój ostatni partner? - spytał cicho.

Kiwnęła głową.

- I ożenił się z twoją matką? Znowu kiwnięcie.

- I ty wciąż wierzysz w miłość?

- Bo ty oczywiście nie - burknęła, stając się znowu Daisy, którą znał. - To, że ja miałam pecha albo źle oceniłam sytuację, nie znaczy jeszcze, że ludzie na całym świecie co dnia się w sobie nie zakochują.



Patrzyła na niego z takim ogniem w oczach, że musiał ją pocałować, i kiedy ten pocałunek stał się gorący, Daisy zadrżała, a wtedy serce zaczęło Julianowi walić tak, że w zapomnienie poszły wrzody żołądka, a na pierwszy plan wysunął się strach przed zawałem.

Tulił ją do siebie, wodząc dłonią to po jędrnych poślądkach, to po jedwabistej skórze pod luźną bluzką.

- Daisy! - szepnął.

I kiedy zareagowała na swoje imię zduszonym jękiem, pożar ogarnął jego lędźwie.

- Daisy!

Oderwała się od niego.

- Nie! - rzekła łamiącym się głosem. - Nie możemy. Nie chcę jeszcze raz przez to przechodzić, Julianie. Obdarzać kogoś miłością, a potem patrzeć, jak odchodzi.

- Przecież mówiłem, że nigdy od ciebie nie odejdę, Daisy - zachnął się.

- Fizycznie może nie, ale emocjonalnie? Patrzyła na niego wyzywająco.

Daisy. - W jego głosie pobrzmiwało błaganie.

- Nie, Julianie, nic z tego nie będzie. Fakt, że czujemy do siebie pociąg fizyczny, to dla mnie za mało.

- A dziecko, którego tak pragniesz?

Zaskoczona tym pytaniem dotknęła brzucha.

- Rozmyśliłam się - burknęła. - Doszłam do wniosku, że postąpiłabym samolubnie i nieodpowiedzialnie, powołując na świat istotę ludzką, bo taki mam akurat kaprys, i oferując jej tylko połowę życia, połowę rodziny.

Julian cofnął się, jakby Daisy wymierzyła mu policzek.

- Ależ Daisy, byłaś przecież zdecydowana. Sama

mnie przekonywałaś, że dziecko może być szczęśliwe i chować się dobrze, nawet mając jednego rodzica, byle tylko było przez niego kochane. Zawahał się, a potem dodał:

- Nie pozwól, żeby to, co między nami zaszło, zniszczyło twoje marzenie.

Pokręciła tylko głową, odwróciła się i odeszła.

Tydzień później Julian znalazł na biurku wymówienie Daisy. Chociaż wiedział dobrze, że to nic nie da, wpadł jak burza do jej pokoju i zażądał wyjaśnień.

- Masz je tam na piśmie - powiedziała spokojnie. - Moja matka wychodzi ze szpitala, Glenowi kończy się urlop i ktoś musi się nią zająć. Wracam z nimi na wybrzeże i nie wiem, czy już tam nie zostanę.

Niedowierzenie podziałało jak detonator dla wściekłości, którą w sobie tłamsił.

- I zamieszkaś z facetem, którego kiedyś kochałaś, i z matką, która cię zdradziła? - wyrwało mu się.

- Oni są przynajmniej ludźmi! - odparowała. - Kierują się uczuciami i emocjami, a nie samym rozumem, który wszystko by racjonalizował. Oni przynajmniej wierzą w miłość!

Wstała, energicznym ruchem zgarnęła z biurka stos kartek, wrzuciła je do neseseru i dodała:

- Jak napisałam w liście, Chelsea nie ma już porannych nudności i chętnie wróci do pracy. Zaczyna od jutra.

- A więc naprawdę odchodzisz? - Ależ patetycznie to zabrzmiało!

Tak patetycznie, że nie raczyła mu nawet odpowie-

dzieć. Przyciskając do piersi neseser, wymaszerowała zdecydowanym krokiem z pokoju.

Daisy posłała matce na kanapie w saloniku i dała jej pilota do telewizora, żeby mogła bez wstawania polować po kanałach na mydlane opery, w oglądaniu których tak się lubowała.

Sama zamknęła się w swojej sypialni i włączyła komputer. W pierwszym e-mailu, jaki otworzyła, natknęła się, a jakże, na prośbę o poradę w sprawach sercowych. Nadawcą było znowu owo bezpłciowe „Jedno Pytanie”.

„Wiesz, Daisy - brzmiały pierwsze słowa tekstu - chyba mam objawy, o których wspominałaś, a do tego parę tysięcy innych, ale co dalej? Jak jej to powiedzieć?”

Daisy pokręciła głową. Ten facet - bo okazuje się teraz, że to „on” - jest jednak beznadziejny.

-Nie wiem, co dalej, JP - wymruczała do ekranu monitora. - Naprawdę nie wiem.

Ale po chwili zastanowienia zaczęła pisać. Palce same śmigały po klawiaturze.

-Po prostu jej powiedz - zaczęła. - Weź się w garść, zbierz na odwagę i powiedz: „Kocham cię”, i miej to wreszcie z głowy.

Wysłała odpowiedź i przeszła do następnego e-maila.

Znowu w sprawie miłości.

Czy to jakaś epidemia?

Osoba nazywająca siebie mianem „Pocałunki za Darmo” chciała się dowiedzieć, czy całując się z chłopcami, można się zarazić jakimiś chorobami.

Miłością, pomyślała Daisy, ale odpisała sensowniej.

Następny e-mail:

„Moja dziewczyna i ja kochamy się do szaleństwa i chcemy się pobrać, ale moja matka mówi, że miłość szybko się kończy i żeby myśleć o małżeństwie, trzeba czegoś więcej - znaczy pieniędzy! Czy ma rację?”

„Tak! - odpisała prosto z mostu Daisy. - Najtrwalsze są małżeństwa, w których nikt nie zaprzęta sobie głowy dociekaniem, skąd wziąć pieniądze na czynsz”.

Wysłała wiadomość i wyłączyła komputer.

Była ostatnio rozdrażniona. Zrobiła sobie niedawno test i okazało się, że jest w ciąży. Od tamtego czasu była się z myślami, czy powiedzieć o tym Julianowi, którego nie widziała od trzech tygodni, czy nie.

Dzisiaj zadecydowała, że mu o tym powie, nie wiedziała tylko jeszcze, jak to robi.

Była tak nastawiona na konfrontację, że kiedy drzwi otworzyła jej Madeleine, dosłownie ją zamurowało.

- O, Daisy! Niech cię uściskam. Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczna za pomoc przy bliźniakach.

Objęła Daisy.

- Wchodź, wchodź. Jak z mamą? Położyłam właśnie bliźniaków do łóżek, możemy więc pogawędzić przy drinku. Aha, i mam dla ciebie prezent.

Madeleine wciągnęła ją do mieszkania, posadziła w fotelu, a sama zniknęła. Daisy nie trzeba było tego mówić, od razu się zorientowała, że Julian już tutaj nie mieszka.

A co, wyobrażała sobie, że zagnieździ się u siostry na stałe? Po co w ogóle laźła tu, na górę?

- Masz!

Madeleine wróciła i rozplywając się w uśmiechach, wręczyła Daisy elegancko zapakowane pudełeczko.

Daisy rozwiązała wstążkę, odpakowała podarunek i wydała okrzyk zachwytu na widok małej emaliowanej broszki w kształcie stokrotki.

Kiedy przypinała ją do bluzki, zadzwonił telefon.

- To pewnie Julian - powiedziała Madeleine. –  
Dzwoni co wieczór, żeby zapytać, czy już wróciłaś.

Daisy zerwała się z fotela, wyprzedziła zmierzającą do telefonu Madeleine i położyła dłoń na słuchawce.

- Jak to, dzwoni co wieczór? - zapytała, przekrzykując natarczywe brzęczenie dzwonka.

- Żeby zapytać, czy już wróciłaś - powtórzyła cierpliwie Madeleine, wzruszając ramionami. - Pewnie chce, żebyś wróciła do pracy. Pracujesz u niego, prawda?

Wyjaśnienie było dosyć logiczne i podniecenie, które w pierwszej chwili poczuła, opadło.

- Teraz będę musiała oddzwaniać - fuknęła Madeleine. - Czemu nie pozwoliłaś mi odebrać?

Daisy wzruszyła ramionami, a ponieważ nie wiedziała, co odpowiedzieć, uciekła się do małego kłamstewka.

- Nie postanowiłam jeszcze, czy wrócę do pracy - odrzekła. - Po co masz go okłamywać, nie oddzwaniaj.

Madeleine spojrzała na nią dziwnie, ale nic nie powiedziała i Daisy nie miała wątpliwości, że jeśli Julian znowu zadzwoni, siostra wypaple mu, co tu przed chwilą zaszło.

- Gdzie on teraz mieszka? - spytała, siląc się na obojętny ton.

Madeleine uśmiechnęła się.

- U Alany - odparła.

Daisy potrząsnęła głową.

- Przecież to bez sensu - zachnęła się. - Jeśli mieszka nadal w tym budynku, to dłaczego sprawdza, czy wróciłam, u ciebie?

Madeleine chyba dopiero teraz to zastanowiło.

- Może na wypadek, gdyby przeoczył twój powrót?  
- podsunęła, wzruszając ramionami. - Prawdę mówiąc, nie pytałam go o to.

Daisy westchnęła z rezygnacją. To właśnie cała Madeleine! Trudno wprost uwierzyć, że mają z Julianem te same geny.

Podziękowała Madeleine za broszkę i zeszła na dół.

Z odgłosów, które dobiegały zza drzwi, wynikało, że Julian jest w domu. Zapukała.

Otworzył i przez chwilę patrzył na nią jak na zjawę. Potem uśmiechnął się i Daisy się trochę odprężyła.

- Wróciłaś - rzekł półgłosem, a ona, ponieważ za schło jej w ustach, kiwnęła tylko głową. - Wejdiesz?

Otworzył szerzej drzwi i zaprosił ją szerokim gestem do środka.

- Nie, przyszedłam, żeby ci tylko powiedzieć... że właśnie przyjechałam...

Położył jej dłonie na ramionach i znowu się uśmiechnął, tym razem porozumiewawczo.

- Wchodź, parzę właśnie kawę. Zwierzaków nie ma, wywędrowały do nowego domu Alany i Rory'ego. Słyszałaś, że kupili dom? Niedaleko matki Aleksa.

Daisy, patrząc na niego i wciąż kręcąc głową, weszła do środka i zajęła miejsce w fotelu.

- Tylko mi nie mów, że na dobre tu osiadłeś - żartowała, żeby skierować rozmowę na neutralny grunt.

- A co w tym złego? Sympatyczni ludzie tu mieszkają, a poza tym Madeleine z Grahamem też kupili sobie dom, a więc się tu przenoszę.

Nie do wiary, on się przenosi do penthouse'u z tą wielką wanną, pomyślała Daisy i odruchowo chwyciła się za brzuch, pamiętając, gdzie poczęte zostało dziecko.

- Masz do mnie jakąś konkretną sprawę?

To pytanie przypomniało jej, z jakim silnym postanowieniem tu szła, ale teraz, kiedy już tu była, nie wiedziała, co powiedzieć.

Jestem w ciąży.

Nadal chcesz mnie poślubić?

Czy możemy od razu omówić warunki małżeństwa?

Odrzucała po kolei te oświadczenia, a kiedy już nic nie przychodziło jej do głowy, popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Daisy?

Było to pytanie, ale zadane łagodnym tonem. Przykucnął przed nią i wziął ją za rękę.

- Wszystko w porządku? Twoja matka dobrze się czuje?

- Dobrze, dziękuję, będziemy mieli dziecko.

Wyrzuciła z siebie te słowa tak szybko, że Julian nie od razu pojął ich sens.

Po chwili puścił jej rękę i wyczuła, że wreszcie dotarło do niego, co przed chwilą usłyszał.

Jest przerażony, pomyślała i łzy napłynęły jej do oczu.

- Aha! - powiedział.

Przygotowała się na najgorsze.

- No tak! - dodał.

Na jego uśmiechniętej zwykle twarzy nie dostrzegaliśmy teraz ani cienia uśmiechu.

Wziął głęboki oddech i zwał się na fotel.

- I co zamierzasz z tym fantem zrobić? - spytał.

Nadal się nie uśmiechał, a głos miał oficjalny, zupełnie jakby rozmawiali o jakimś pacjencie.

Kto zresztą wie, czy o pacjencie nie rozmawiałby z większym zaangażowaniem.

- Daisy?

Posłała mu płomiennie spojrzenie.

- Słyszałam - warknęła. - Nie wiem tylko, co odpowiedzieć. Pierwsza chciałam o to zapytać. Ciebie chciałam zapytać, co zamierzasz z tym fantem zrobić.

Julian pokiwał głową.

- No dobrze, załóżmy, że pierwsza zapytałaś.

Przyglądał jej się przez chwilę, potem podjął:

- Odrzuciłaś już małżeństwo kontraktowe, a co byś powiedziała na małżeństwo oparte na miłości?

Było to tak niewiarygodne, że Daisy prychnęła.

- Z tobą? - zapytała, czując wzbierającą złość.

- Powiedzmy.

- Dostyc tego - fuknęła, zrywając się z fotela i kierując do drzwi. - Sama sobie poradzę.

Julian był szybszy, dopadł drzwi przed nią.

- Na pewno nie dasz się przekonać? - spytał. - To znaczy, do małżeństwa z miłości?

Wpatrywał się w jej usta i opuszczał powoli głowę. Daisy stała jak zahipnotyzowana.



- Och, Daisy - szepnął. - Gdybyś ty wiedziała, jak mi ciebie brakowało. Jak pragnąłem znowu cię przytulić, znowu poczuć smak twoich ust...

Obsypał pocałunkami jej twarz, ale zanim zdążyła poddać się jego pieścizotom albo go odepchnąć, mówił dalej:

- Nauczyłaś mnie kochać. Dopiełaś swego, Daisy, i tym razem proponuję ci małżeństwo z miłości.

Wziął ją za brodę i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy.

- Co ty na to?

Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, ale nadal nie potrafiła mu uwierzyć. Dotknęła koniuszkami palców jego twarzy.

- Mówisz poważnie? - spytała cicho. Uśmiechnął się i porwał ją na ręce.

- Jak najpoważniej. Dawno już chciałem ci to powiedzieć, tylko nie wiedziałem jak. W końcu zwróciłem się o poradę do specjalistki.

Daisy zaczęło coś świtać. Czyżby to była sprawka Alany? Czyżby „Jedno Pytanie” i Julian Austin to jedna i ta sama osoba? Niemożliwe!

Ale on znowu ją całował i wyjaśnienie tej kwestii musiała odłożyć na później.

## EPILOG

- Idealnie leży na niej ta suknia! - powiedziała Gabi do Kirsten.

Siedziały miesiąc później na kanapie Daisy i patrzyły, jak Alana wplata w ciemne włosy Daisy girlandę białych orchidei.

- Ona nie ma takiej awersji do buszowania po sklepach jak niektóre tutaj - zauważyła Kirsten. - A same wiecie, ile się trzeba nałazić, żeby trafić na porządną kieckę. Daisy przymierzyłaby wszystko, co bym jej podetknęła, ale tak się złożyło, że już pierwsza, którą włożyła, leżała na niej jak ulał.

Gabi westchnęła. Nie pamiętała już, kiedy pasowało na nią cokolwiek z wciętą talią.

- No! - rzekła Alana i obróciła Daisy twarzą do siedzących na kanapie przyjaciółek. - I jak?

- Pięknie - zakrzyknęły chórem.

Daisy splonęła rumieńcem.

- Bbbyłyście cucudowne - wyjąkała. - Nie planowaliśmy tego z Julianem. Chcieliśmy pobrać się potajemnie, jak Alana z Rorym.

- Jeszcze czego! - zachnęła się Kirsten. - Jedna wspomniana przez ciebie para już nas wykiwała, i starczy.

Daisy przejrzała się w lustrze.

- Nie wyglądam zbyt ostentacyjnie? — spytała z niepokojem. - Bo wiecie, będę musiała przejść przez szpital, a nie chcę za bardzo rzucać się w oczy.

- Wyglądasz w sam raz - zapewniła ją Alana, a Gabi kiwnęła potakująco głową.

W muślinowej sukni mieniającej się odcieniami lawendy i lilii Daisy nie przypominała ani trochę konwencjonalnej panny młodej, ale kolory te podkreślały jej urodę, i tak już świecąca blaskiem odwzajemnianej miłości.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przyszedł Julian.

- Ja chyba panikuję - powiedziała do przyjaciółek, podnosząc do oczu drżące dłonie.

- Jakie tam panikuję - ofuknęła ją Alana. - Jesteś zwyczajnie podniecona pierwszym krokiem na nowej drodze życia, który zaraz zrobisz.

Wszedł, wpuszczony przez Kirsten Julian, i podziw, jaki zobaczyła w jego zakochanych oczach, rozwiął jej obawy. Kiedy Julian wziął ją za rękę, przypomniała sobie, co oświadczył jej poprzedniego wieczoru:

- My jesteśmy już związani na całe życie. Ta jutrzejsza ceremonia jest dla innych, nie dla nas.

Żegnani chóralnymi „Do zobaczenia” i „Powodzenia” wyszli z mieszkania i zjechali windą do podziemnego garażu.

Julian trzymał Daisy za rękę i milczał. Daisy była mu za to wdzięczna, bo krtań miała z nerwów tak ściśniętą, że i tak nie byłaby w stanie wykrztusić słowa.

Podjechali pod szpital i Julian wprowadził samochód na swoje miejsce parkingowe. Nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia ludzi, wsiedli do windy i wjechali na udekorowany serpentynami i balonikami

oddział pediatrii.

- Życzymy szczęścia i pomyślności - wyskandowały hospitalizowane tutaj dzieci zebrane w sali zabaw i Daisy odprężyła się.

To był znakomity pomysł, uznała, żeby wziąć ślub tutaj. Czowała się wspaniale.

Pastor czekał przy łóżku Belli - Belli odmienionej nie do poznania, ubranej w lawendowy kostium dobrej wróżki, który sama wybrała z katalogu sklepu z zabawkami. W ręczce trzymała różdżkę, którą wymachiwała z zapalem na widok Juliana i Daisy.

W obecności świadków, którymi przed tygodniem zgodzili się zostać rodzice Belli, mając Bellę za druhenę, Daisy i Julian zostali sobie poślubieni.

- To jeszcze nie koniec - mruknął Julian, kiedy po zakończeniu ceremonii i krótkiej zabawie z dziećmi opuszczali oddział.

- Wiem - powiedziała Daisy, przytulając się do męża, kiedy czekali na windę. - Ale przynajmniej mamy twoje mieszkanie, gdyby przyjęcie w penthousie się przeciągnęło.

Westchnęła i dodała:

- Przepraszam cię za to przyjęcie, ale znasz Gabi, Kirsten i Alanę. Kiedy wbiją sobie coś do głowy, to koniec.

Julian uśmiechnął się do niej.

- Dopisz do tej listy moją matkę i Madeleine, a będziesz miała siłę, która potrafi przenosić góry. Mam na dzieję, że twoja matka czuje się na tyle dobrze, że chociaż na chwilę przyjdzie.